ŚWIAT

Nr. 6 - 9-II-1929.



Ranny wilk.

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXIV **ŚWIAT** - NR - 6 -

WARSZAWA, DNIA 9-go LUTEGO 1929 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO



AUTOR A KRYTYK

Znamienną cechę przejściowego charakteru naszej literatury powojennej stanowią nadużycia bieżącej krytyki literackiej. Nigdy, w żadnej epoce, nie nagromadzono w sądach o pisarzach tyle dyletantyzmu, płytkości, zuchwalstwa i grubjaństwa. Nadchodzi wreszcie reakcja ze strony samych autorów, którzy niezmiernie rzadko korzystają z „prawa odpowiedzi", nie chcąc się narażać na nowe ataki i inwektywy. „Front wobec krytyków organizuje Wacław Grubiński w „Echu Tygodnia", redagowanem z młodzieńczą pasją i wdziękiem satyrycznym. W specjalnej ankiecie postawił on szeregowi autorów pytanie: „jaki wpływ miała krytyka na twórczość pańską?".

Posypały się odpowiedzi bardzo chętne. Jedne poprzestają na wyniosłem, a nie zawsze szczerem, lekceważeniu krytyki; inne w cierpkich skrótach zestawiają wszystko, co autor miał na wątrobie wobec swoich sędziów. Nietrudno dostrzedz, iż każdy z autorów (nawet taki, który „nigdy krytyk nie czyta") doznał chwilowej ulgi, że mógł chociaż raz publicznie pokazać krytyce język. Cały bowiem ciężar gatunkowy wyników ankiety mieści się nie w odpowiedziach na postawione pytanie, ale w dosadnem kwalifikowaniu różnego gatunku krytyków. Długotrwała bezkarność niektórych harcowań krytycznych wytworzyła już pewne, wyraźne typy sędziów. Cztery śród nich są najjaskrawsze:

1) Krytyk, który się dorwał do pióra dzięki szczęśliwemu przypadkowi. Wczoraj jeszcze pożyteczny reporter lub kwiecisty „wzmiankarz", dziś — rozdawca laurów. Pozbierał mozolnie nieco liczmanów frazeologji krytycznej i operuje niemi z odwagą. Wobec jednego autora łasi się, jak wyżeł, drugiego „miażdży" w przeświadczeniu, że mu tą drogą dorośnie do pięt. W momentach rozczulenia lirycznego miewa też własne tęsknoty „twórcze": pisze „wiersze", „wrażenia", „wspomnienia" i z tego źródła czerpie nieraz podniete do swej „pracy" krytycznej. Na stopniu niższym będzie to półanalfabeta, rozprawiający z bezgranicznem zuchwalstwem o sztuce.

2) Krytyk - belfer. Poloniści nauczyli go *historji* literatury, jest więc zdania, że tylko erudyta ma prawo admiracji. Pielęgnuje troskliwie swój „zmysł historyczny", ale braknie mu organu odczuwania życia w utworze. Naucza więc i naucza, narzekając nieustannie na „niski poziom" dzieła, o którem musi wypowiedzieć sąd własny. Niezdolny do syntetycznego ujęcia procesu twórczego, zabija jednem pociągnięciem pióra utwór, aby dowieść, że nie żył nigdy. Otacza się chętnie mgłami górnego frazesu, ażeby insynuować, że zna, zna osobiście jakieś fenomenalne dzieła sztuki współczesnej, o której nikt nie wie, i o której on... nikomu nie powie.

3) Krytyk, który „rżnie". Kategorja nie tyle najliczniejsza, ile najwrzaskliwsza. — Postanawia „rżnąć" wszystko jedno, kogo i co, byle zyskać jaknajwiększy rezonans. Jeżeli taki krytyk jest wychowany jako tako, wówczas odsunie się świadomie od utworu bez-

względnością sądu, ostrem podkreślaniem mało ważnych drobiazgów, wyolbrzymianiem błędów i tendencyjnem przemilczaniem istotnych walorów. Jeżeli jest wychowany źle, wówczas pożycza chętnie gwary od dorożkarzy, przekupek i parobków. Audytorjum jego dzieli się na dwie grupy: jena klaszcze w dłonie z podnieceniem widza z walki byków i woła: „a to go zerżnął! czytałeś?"; druga — powtarza to samo zdanie z udanem delikatnie współczuciem i oburzeniem. W takiej atmosferze odbywa się bujny rozkwit „rżnącego" krytyka, upojonego radosnem zadowoleniem z własnej trywialności. Ludzi się, że sieje postrach, a to tylko staranne omijanie, albowiem niezawsze... pachnie. „Rżnącym" krytykom nie brak prozelitów i uczniów. Niejedno żydziątko, które się jeszcze zachłystuje piękną mową polską, już oto skacze do oczu pisarzowi polskiemu, i żąda arogancko egzaminu z „zagadnień kultury narodowej".

4) Krytyk - doktryner. Nie mogąc odczuć piękna w żadnym utworze, wjeżdża w szranki krytyczne na „problemacie" społecznym. Jeżeli łokciem „problematu" nic wymierzyć nie zdoła, — potępia wczambuł całe dzieło. Metoda ulubiona, zwłaszcza przez reprezentacyjnych dyletantów, którzy się parają literaturą ubocznie, poza swemi zajęciami zawodowemi. Biada, jeżeli problemat dostanie się w ręce „mniejszościowca": pogrąży go w bełkocie pseudo - filozoficznym, będzie ocalał nieustannie „honor literatury polskiej", będzie załamywał ręce, jak ten lub ów mizerny Polak nie umie uczcić Mickiewicza, Słowackiego czy Wyspiańskiego, których on tylko czuje i rozumie — och! jak rozumie!...

W epokach wielkiej twórczości takie typy krytyków nie mogłyby odgrywać znaczniejszej roli. W epoce przejściowej narzucają się łatwo na kierowników opinji literackiej. Autor utalentowany, autor, mający dostateczną świadomość własnych sił i środków, powinien mieć wobec nich jedną tylko postawę: odwrócić się tyłem, pochylić się nad własną pracą twórczą...

* * *

Wszelkie nadużycia i nieporozumienia zasadnicze krytyków nie mogą służyć za pretekst do rewizji pojęć o samej krytyce. Pytanie, jaki wpływ miała krytyka na twórczość tego lub owego pisarza, należy do takiej samej kategorji, co pytanie, w jaki np. sposób podziałała na kobietę uwaga, że jest brzydką lub piękną. Piękno utworu literackiego, tak samo, jak piękno kobiety, jest sprawą *organiczną*, nie zależną od niczyjej woli, nie dającą się zmienić i uzupełnić. Nie „poprawi się" autor, gdy otrzyma o swem dziele opinję ujemną, nie wzrośnie jego talent wskutek tego, że to dzieło zostało pochwalone. Krytyka naprawiająca błędy, krytyka dydaktyczna będzie zawsze złudzeniem tylko; dla twórcy *istotnego* pozostanie bez „wpływu" na dalszy ciąg jego twórczości.

Nie wynika stąd jednak wniosek, ażeby krytyka miała być przez to samo nieużyteczna. Dla autora staje się miarą i gatunkiem ujawnionego oddźwięku, jakie dzieło jego wywołało; ale jest czemś znacznie więcej dla „czytelnika". Krytyk jest dobrym lub złym pośrednikiem pomiędzy twórcą a czytelnikiem; jest tym, który *rozumie* dzieło twórcze, który ma *wrodzony* dar tego odczuwania i pojmowania, więc odtwarza dynamizm psychologiczny utworu, a o dziele sztuki pisze językiem sztuki. Krytyk jest również jednym z *czytelników*, ale takim, który wypowiada publicznie swe zdanie. W epokach wielkiej twórczości literackiej krytyk musi być dość wybitny, aby głosu jego słuchano; w epoce twórczości niedostatecznej zmniejsza się ilość „czytelników", a rośnie niepomiernie ilość „krytyków", którzy czynią wiele hałasu około... siebie. Niesłusznem jednak byłoby przypuszczenie, że poważną przeciwwagę niepowołanej krytyce stanowić mogą oceny krytyczne, dokonywane przez samych autorów. Jeżeli autor jest naprawdę twórcą, musi w krytyce utworu innego pisarza bronić estetyki własnej. Czytając romans czy poemat swego kolegi, porównywa go mimowoli z utworami swojemi i odrzuca bezapelacyjnie wszystko, co mu się wydaje odmiennem od jego ideału twórczego. Nie będzie to więc krytyka „fachowa", ale rodzaj deformacji zawodowej.



Krytyka w najrozleglejszem znaczeniu jest opowieścią o duszy rozważanego autora. Wartość jej zależy od gatunku umysłu, inteligencji, zmysłu estetycznego, wrażliwości krytyka oraz zdobytej przez niego skali porównawczej. Momenty przesileń w krytyce towarzyszą niemal zawsze momentom przesileń w twórczości literackiej.

We Francji od szeregu lat już toczą się gorące dyskusje na temat „kryzysu krytyki". Śród zagadnień związanych ze sprawą najciekawszą jest próba określenia „prawdziwego" krytyka. Zyskuje zwolenników twierdzenie, że krytyka jest odrębnym rodzajem twórczości, co byłoby powrotem do teorji Oskara Wilde'a. „Studjum krytyczne — mówi G. Brunet — jest *prawdziwem* dla jednostki, gdy wyraża całość stosunków pomiędzy utworem a temperamentem, podobnym do jej temperamentu. Studjum krytyczne jest prawdziwem dla danej epoki, gdy wyraża całość stosunków pomiędzy utworem a reprezentacyjnym temperamentem większości temperamentów danej epoki". Takie określenie przedmiotu mówi, niestety, o wartościach dość niepochwytnych. Wychodzi ono z założenia, że krytyk musi być *artystą*, że musi mówić w *żywy* sposób o żywych rzeczach utworu, że musi posiadać w sobie „potęgę życia", która nadaje charakter oryginalny utworom rozważnym. Rytmowi własnego życia winien krytyk narzucić rytm duszy, którą chce przeniknąć i ogarnąć. Krytyk prawdziwy rozumie dusze najróżnorodniejsze, albowiem posiada „bogatą gamę człowieczeństwa, posiada i rozwija w sobie wszelkie możliwości tego człowieczeństwa. Będzie artystą specjalnym, który potrafi badać i odczuwać rzeczy najsprzeczniejsze. Czysty twórca dąży do zaakcentowania swej osobistości w tem, co ona ma w sobie najbardziej oryginalnego; osobistość krytyka - artysty pomieścić musi w sobie wszystkie osobistości czystych twórców. I na tem głównie polega odrębność sztuki krytyka, świadomego swych zadań i obdarzonego specjalnym do takich przeżyć twórczych talentem.

Jan Lorentowicz

JUBILEUSZ SALONU JESIENNEGO

Salon Jesienny obchodzi w tym roku 25-lecie swoich narodzin. Przyczyną jego powstania była nietolerancja jury wszechwładnych naówczas sprzymierzonych Salonów Artystów Francuskich i Narodowego T-stwa Sztuk Pięknych. Pierwsze formy organizacyjne nadał mu znany krytyk i znawca sztuki dekoracyjnej p. Ivanheé Rambosson. Przewodnictwo nowej instytucji objął dotychczasowy jej prezes, Frantz Jourdain.

Jakie były cechy odrębne i rola Salonu Jesiennego? Pod względem formalnym zachował on jury, jak i Salon Artystów Francuskich, z tą różnicą, że wybiera się tam co roku z innych członków stałych (societaires) towarzystwa, którzy sami jury co do swych eksponatów nie podlegają. Tem się różnił od początku od Salonu Niezawisłych, gdzie każdy daje, co chce, bez żadnej kontroli. Ograniczenie to podniosło względny poziom techniczny Salonu Jesiennego, ale nie uniknęło nadużyć i dowolności, wobec różnolitego i przygodnego wyboru członków Jury.

Naogół tendencje były — anty-akademickie, manifestacyjnie popierające przedstawicieli nowych prądów nawet w ich występach jaskrawszych. Fakt założenia instytucji przez jednego, a przewodnictwa jej przez drugiego artystę dekoratora pociągnął za sobą udzielanie sporego miejsca sztuce dekoracyjnej w jej śmielszych poczynaniach. Połączono z tem manifestacje muzyczne, poetyckie, teatralne, oczywiście w pokrewnym z tem duchu. Od czasu do czasu organizowano Sekcje narodowe, z których rosyjska i niemiecka przed wojną zdobyły duże powodzenie. Historycznie tedy Salon Jesienny odegrał rolę dodatnią i płodną w odnowieniu sztuki we Francji, a przez to i wogóle w Europie.

Niezbyt fortunnie, przyznajmy, pomyślana część ściśle jubileuszowa grupuje szereg wielkich nazwisk i pięknych dzieł. Nazwiska Cézanne'a, Renoira, Gauguina, Carrièra, Odilon Redena, Bennard'a, Vuillarda'a, H. Matisse'a, d'Espagnat, Guerin'a, I. Flandrin'a, pani Marval, Lebasque'a, M. Denis, van Dongen'a, z rzeźbiarzy Rodina, Maillola, J. Bernarda, Pimienta, etc.

Trzech polskich artystów należy do części jubileuszowej: przedwcześnie zgasły *E. Zak* z cudowną kompozycyjnie i kolorystycznie „Starszą siostrą z braciszkiem", p. *J. Peske* z mocno zbudowanym przebarwnym pejzażem, p. *M. M. Muterowa* ze swym słynnym „Grajkiem podwórzowym" o wstrząsającym swą melancholją wyrazie nędzy miejskiej.

Niewiele nowego da się powiedzieć o zwykłej dorocznej wystawie Salonu. Spotykamy tu szereg dzieł tęgich i masę miernych. Przeważa tendencja realistyczna, większa staranność kompozycyjna i rysunkowa, dbałość o koloryt i brak oryginalniejszej fantazji. Obok powyżej wspomnianych starszych zanotujemy kompozycję Sabbagha, Charlemagne'a, L. Maillela; Charlet, Quelvée, p. H. Dufau, akty Gluckmana, Rocklyne, Bagarre'a, C. Liansu, pejzaże Mainssieux, Seyssand, Osterlinda etc.

Polaków, jak zwykle, wielu. Omawialiśmy gdzieindziej specjalną Sekcję polską. Obecnie mamy na myśli rodaków paryskich. Udział pań jest bardzo poważny. P. *T. Łempicka* wybija się swą oryginalną konstrukcją portretów i studjów, świetnie zharmonizowanych kolorowo. P. *Lewicka* oddaje naturę z upojeniem — w barwnych feerjach szczerze wyczutych. P *Alexandrowicz* obok doskonałego portretu celuje, jak i p. *Z. Piramowiczówna*, w pięknych „kwiatach", posiadających także duże zalety dekoracyjne. P. *Rene* ma męską siłę rysunku i dar kompozycji. P. *Chełmońska* dąży do ujęcia charakterystyki swych postaci, nawet ze szkodą dla ich prywatnej urody. P. *Fedorowiczówna* zestraja swe morskie widoki w oryginalnej gamie barwnej.

P. *Kisling* występuje z trzema pierwszorzędnemi płótnami o swoistej mu prostocie ujęcia i mistrzowskim kolorycie. Ta troska o koloryt przejawia się wymownie w jaśniejszej, kuszącej palecie p. *Mondszajna*, w portrecie młodego żyda przez p. *Kanelbę*, u p. *Seiferta*. Duch realizmu w transpozycji indywidualnej kieruje p. *Kramsztykiem* w jego świetnych portretach, p. *Januszewskim* w jego mocnym akcie. Poważne zalety malarskie znajdujemy u pp. Gwozdeckiego, S. Grabowskiego, J. Hechta, p. Sunderlanda. „Przygotowania do posiłku wieczornego" grupy robotników p. *L. Gottlieba* o surowej i wymownej plastyce, o syntetycznej kompozycji i głębi freskowego tonu uważam za jedną z najlepszych prac tego artysty.

P. *Czermański* powszechnę zwrócił uwagę swemi, pysznie zjadliwemi, karykaturami Feujity i Kislinga. Piękne dekoracyjne drzeworyty p. *J. Konarskiej* towarzyszą w dziale grafiki niebywałej lotności, zuchwałej fantazji i finezji rysunku akwafort *K. Brandla*. Znamy skądinąd siłę ekspresji i oryginalną jędrność kompozycji p. *S. Mrożewskiego* w ilustracjach do „Pana Tadeusza".

Dziwnym zbiegiem okoliczności panie górują absolutnie w rzeźbie. Dwum dobrym głowom p. *M. Lipszyca* — można przeciwstawić pięknie zbudowanego w prostych, wyrazistych linjach (o nieco przyciężkich skrzydłach) Anioła p. *M. Lednickiej*, dwie czarujące postacie rozkwitłych dziewcząt o misternej i barwnej emalji ceramicznej p. *Miki Mikun*, zajmujące grupę (w akcie) trzech dziewic, p. *Polin* (Lidenfeldówny). Wreszcie p. *S. Łazarska* uchwyciła w swych syntetycznych rudymentarnych lalkach cały wdzięk i wymowę ruchów swego prototypu — p. Rénaud z Komedji Francuskiej. Wielkim sukcesem cieszyły się również jej dwie kompozycje batikowe na drzewie.

E. W.

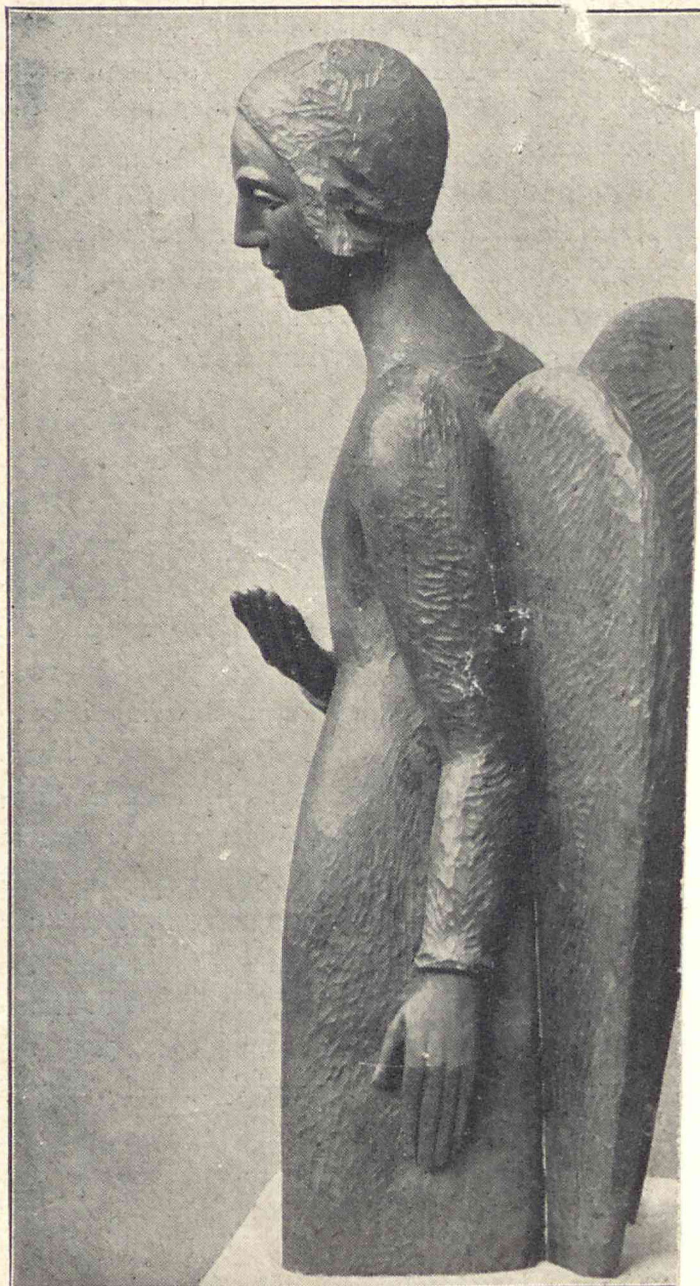
Paryż.

JUBILEUSZ SALONU

Fot. J. Roseman



Mika Mikounn



M. Lednicka - Szczytt

Wenus z Kolin

Fot. S. Londyński



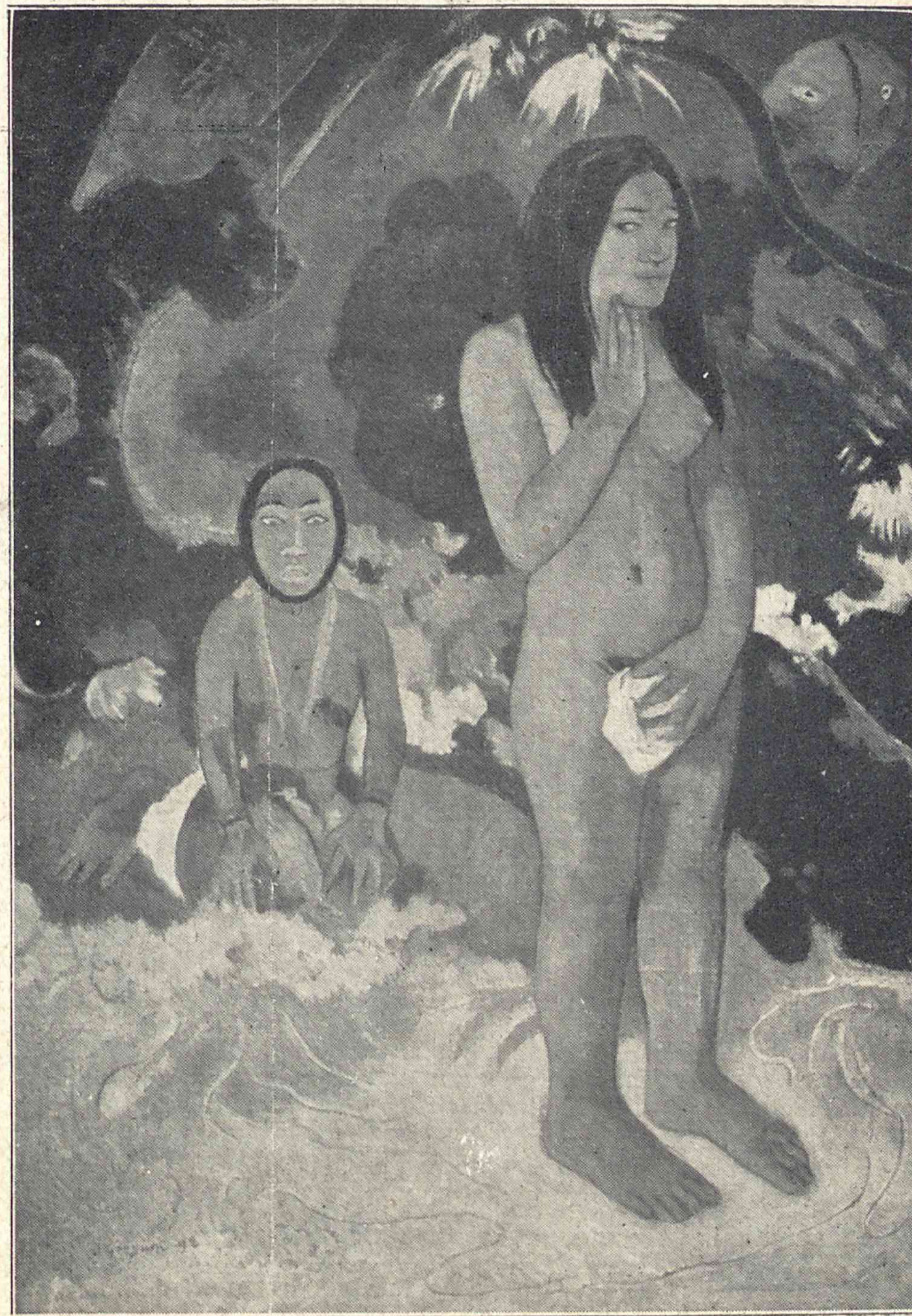
R. Kramsztyk *Portret pani R.*



T. Łempicka Fot. Marc Vaux *Różowa koszulka*

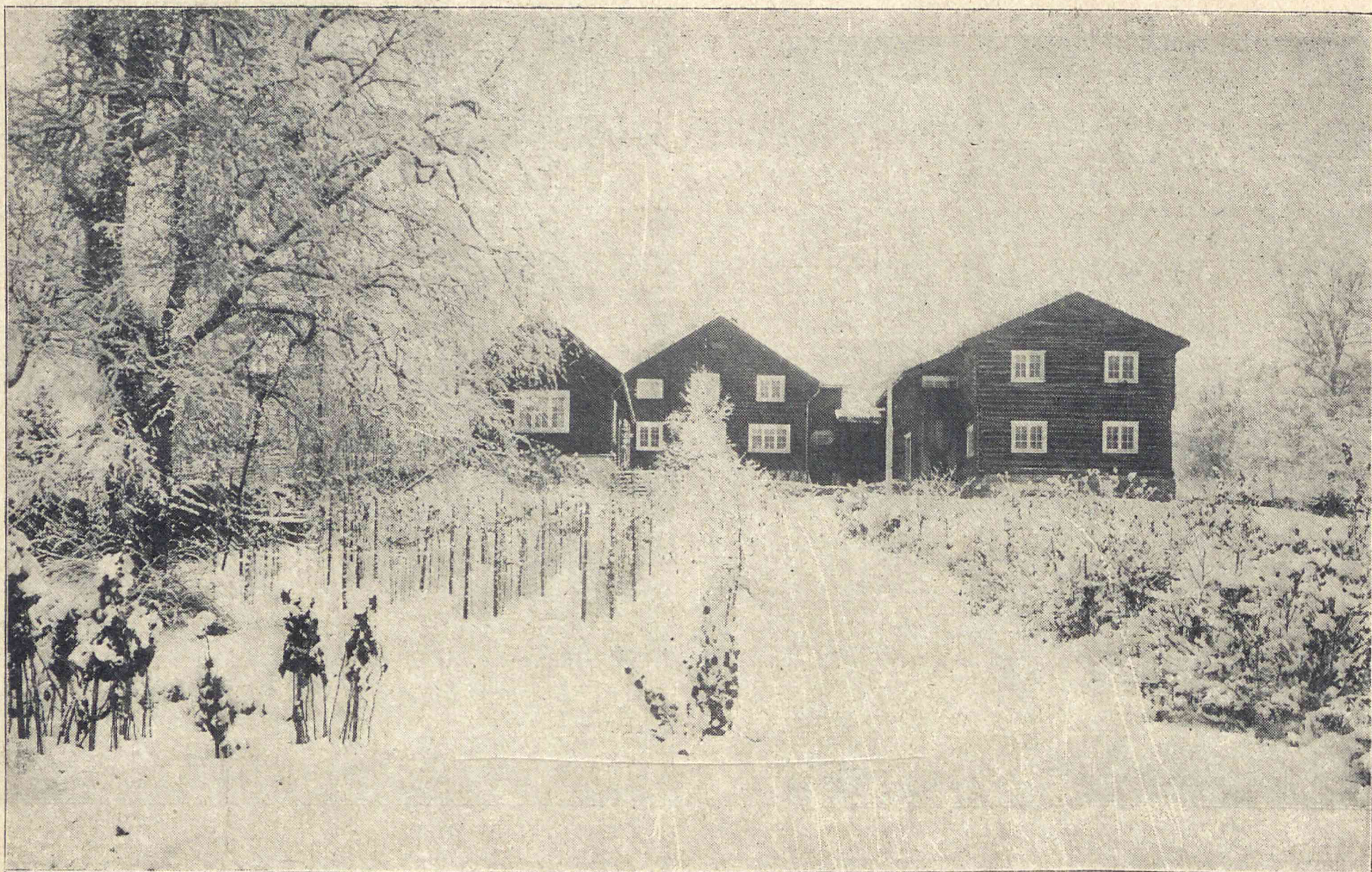


Kisling *Młoda holenderka*



Gauguin Fot. J. Roseman *Taity*

SYGRYDA UNDSET I JEJ „KRYSTYNA, CÓRKA LAWRANSA"



Dom w Liljenhammer, gdzie mieszka autorka „Krystyny, córki Lawransa"

Sygryda Undset, laureatka nagrody im. Nobla, dla polskiej, czytającej publiczności, jest prawie zupełną nowością. Utwory jej nie były tłomaczone na nasz język, choć w krajach skandynawskich autorka ta posiada ustaloną reputację znakomitej beletrystki. Ma ona za sobą cały szereg wybitnych powieści; zwycięstwo odniosła przez swoją powieść, epopeję „Krystyną, córką Lawransa".

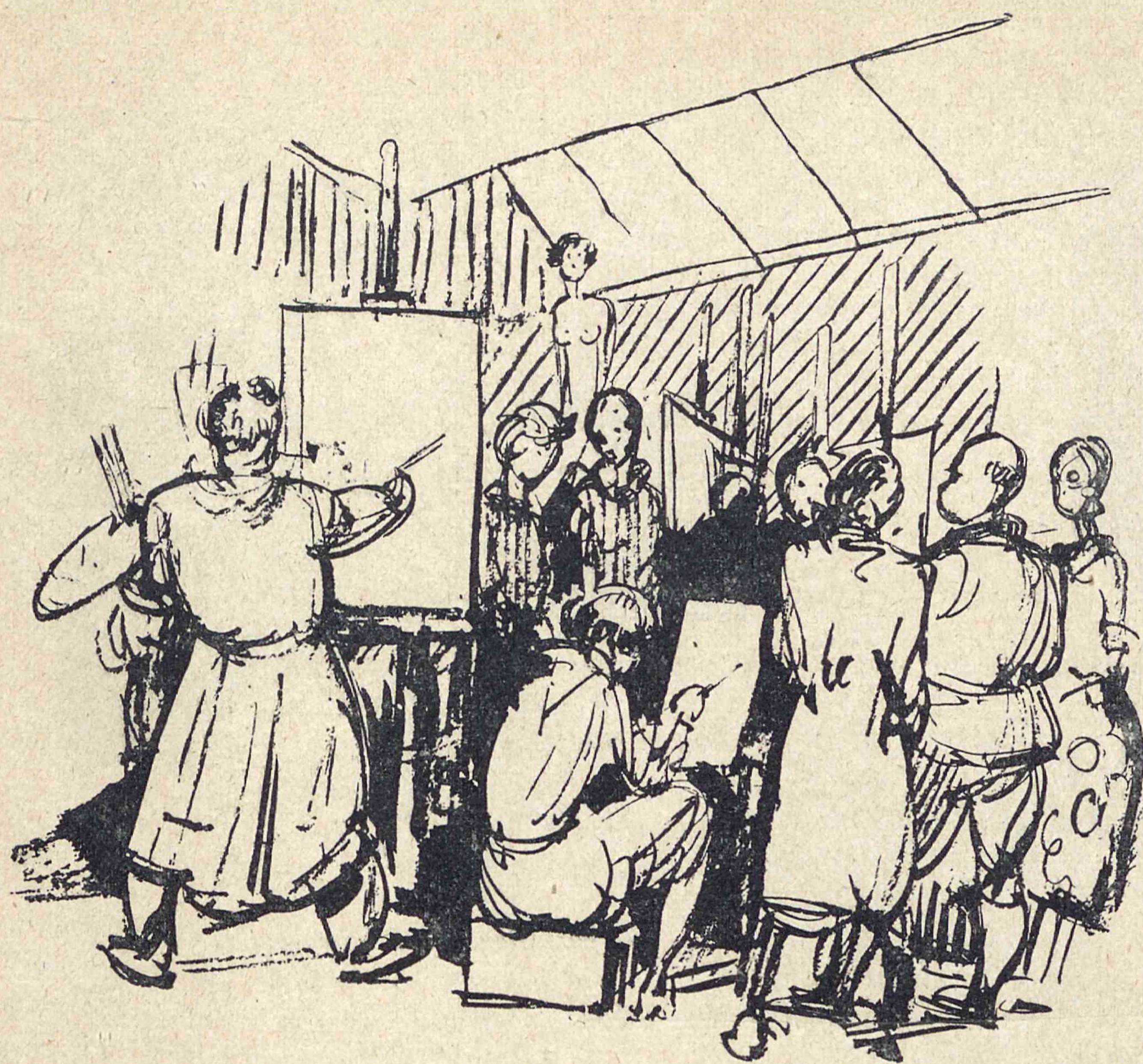
Sygryda Undset liczy sobie obecnie 46 lat. W młodości marzyła, że zostanie malarką. Niestety, miast do szkoły sztuk pięknych, musiała uczęszczać do akademji handlowej. Przez lat dziesięć pracowała jako biuralistka w wielkiem przedsiębiorstwie elektrycznem.

Arcydzieło jej „Krystynę, córkę Lawransa" mamy teraz w polskim przekładzie, dzięki inicjatywie „Roju". Możemy więc, choć pośrednio, zapoznać się z jej metodami twórczemi, z jej światem wizji artystycznych. Sygryda Undset w powieści tej odtwarza życie norweskie średniowiecza. Lawrans jest wprawdzie możnym panem, sam jednak gospodaruje na swoich posiadłościach w Jörund. Walczył on za młodu przy boku królewskim. Gdy go poznajemy, jest już statecznym ziemianinem, ojcem trzech córek, z których najstarsza Krystyna, zaręczona z Szymonem, sprawia mu wiele kłopotu. Zakochała się w wyklętym Erlendzie, kuzynie królewskim. Dzieje jej serca wzruszają. Sygryda Undset, gdy mówi o jej miłości, roztacza wszystkie czary uczucia. Daje sceny pasjonujące. Potrafi też niezmiernie plastycznie i barwnie malować krajobrazy.



Sygryda Undset u kominka

Autorka „Krystyny, córka Lawransa" stara się unaocznić poezję średniowiecznego katolicyzmu. Nie jest to religja zimna, bezwzględna. Schyla się ona nad ułomnością ludzką z dobrocią i mądrością. Sygryda Undset, jak wiadomo, jest konwertytką. Została katoliczką, by tem głębiej opiewać chwałę norweskiego średniowiecza.



W pracowni

GDZIE WESOŁO, TAM ZDROWO...

...O WARSZAWSKIEJ SZKOLE SZTUK PIĘKNYCH BREDNI KILKA...

Jesteśmy narodem rozpaczliwie ponurym. A jednak...!

„Jest kraina — w tej krainie
„Nad Wisełką stoi gmach,
„Co z rozpusty dzikiej słynie
„W pensjonarek młodych snach".

„I malarzy i rzeźbiarzy
„Żyje tam wrzaskliwy ród,
„Dużo jest plugawych twarzy,
„Za to niema żadnych cnót".

Ci „straszliwie" oczernieni przez samych siebie malarze i rzeźbiarze, to studenci warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, „banda" zgrana i serdeczna, „malarja" niepoprawna w pracy, radości, kpinach i śmiechu całą gębą od ucha do ucha.

Dla tych sympatycznych urwipołciów niema nic świętego, prócz pracy, a życie to jeden wielki „kawał" z jego nędzą, jakże często szarpiącą trzewia malarzy i rzeźbiarzy, z jego wyzyskiem, który nad niewielu ludźmi na świecie tak się znęca, jak nad zdolnym „pacykarzem", czy „gliniarzem", który nie ma jeszcze wyrobionego „nazwiska".

Wszystko furda!, wszystko głupstwo!... Bo wszystko śmiechem pokryć można! I choć z pod rąk wychodzą rzeczy piękne i jak często — święte, przecie co jeno dobre i zdrowe, śmiechu jest warte! Człowiek oczywiście jest najkomiczniejszy, ale rzeczy też djablo potrafią być zabawne... stary pędzel, krzywe sztalugi, farby..., tak, nawet farby!

Bo warto

„zastanowić się kolejno
„nad każdą farbą olejną".

„Zieleń jest zmienna, jak kobieta:
„Położysz ją, jest czysta, odejdziesz—już [wszystko jedno,
„Zieleń jest zmienna, jak kobieta:
„Położysz ją, jest czysta, odejdziesz—już [nie ta!
„Stąd jeden wniosek wysnuć należy:
„Z zielenią i z kobietą ostrożnie, [młodzieży! —"

Lecz w pracowniach podczas malowania atmosfera skupienia i rzetelnej roboty. Tłoczno. Las stalug, długie barykady rozpiętych płócien.

Naogół cisza, a gdy kto rozgada się niechcący, inni uciszają go psykaniem, lub uprzejmą prośbą:

— Zamknij paszczę! —

Tylko pędzliska, mocno naciskane, łomocą stalugami, tylko od czasu do czasu zaskrzypi szpachla, którą ktoś zdrapuje namalowany akt, tylko ciężkie westchnienia wzbijają się do pułapu.

...Bo trudem ogromnym i pracą serdeczną dochodzi się do wyników...

...Bo tu nie zabawa, nie kpinki i żarty, a szczery, ciężki, mozolny i radosny trud... praca...!

Więc chodzą profesorowie po swoich pracowniach od stalug do stalug i mruczą na pół do siebie:

— To jest problem, o! — mówi pierwszy.

— Dobrze, ale możeby nie tak... — drugi.

— Byczo jest! — huczy trzeci.

Zaś czwarty profesor przewija się od płótna do płótna, uśmiecha się, milczy i tajemniczy jest, jak Sfinks...

Lecz gdy popularny i zacny woźny nad woźnymi, przyjaciel nad przyjaciółmi zadzwoni na przerwę, gwar podnosi się, jak w „sztubie" i wesołość kipi.

Ogromne, szerokie korytarze napełniają się w wązkich przejściach. Reszta podłogi zajęta na przepierzenia, tak zwane „obory", albo „cielętniki", które musiano postawić, aby stworzyć nowe pracownie.

Gdyż Szkoła rozwija się nieproporcjonalnie do wielkości budynku, a wszelkich kredytów... skąpią, skąpią, skąpią...!

Pustoszeją na przerwę pracownie malarskie, rzeźbiarskie, graficzne, garncarskie, litograficzne, stolarskie, pustoszeje aula i „narybek" (1 rok) kończy słuchanie wykładu o anatomji człowieka.

Wykłady te są ciekawe, jak i wszystkie inne w szkole, lecz mają tę wyższość, że gdy ludzie „słabną" przed repetycją, nikomu na myśl nawet nie przyjdzie mdleć i nikomu nie robi się słabo, bo pomoc lekarska jest na miejscu.

Przerwa jest błogosławionym kwadransem! Odpocząć można, nagadać się dowoli, naśmiać, że aż przepona boli, lub naradzić się wspólnie nad sposobem wydostania nędznej mamony, którąby wystarczyła na przeżycie najbliższych 24 godzin.

Boć nie każdy ma mamusię i tatusia, nie każdy odziedziczył majątek po zmarłym wujku w Północnej Ameryce i nie każdy jest jako ów malarz, co polskie morze tak zamęcza, że:



Pogawędka modeli



Z portretem pani kupcowej

„Bałtyk pieni się i burzy,
„Ach, nie maluj mnie pan dłużej!

— „Co rok jedzie na Pomorze,
„Może morze mu pomoże,
„Sławiąc wodę i odmęty,
„Wpuszcza wilgoć do Zachęty:
„— Ja bałwanów się nie boję —
„— Swój do swego i po swoje!"...

Nie każdy również, zwłaszcza młody:

„jako malarz temat ma
wcale nie banalny,
„specjalnością której jest:
„byk monumentalny...

„...i jednemu dobrze dziś
„wśród malarskiej braci;
„każdy paskarz jest jak byk,
„więc za byka płaci".

I mało jest już niedobitków „futurjai", co narobili dużo chałasu, wprowadzili zamęt, lecz i swoich zasług mieli niemało.

Lecz ci to była również biedota, chociaż jurna i zawadjacka:

„Krzyki, wrzawa, gwałt i ścisk...
..„Kto nie słucha, tego w pysk...
...„Nie powie wam żaden z nas,
„ani be, ani me,
„Poco turek w śrubę wlazł,
„czego od niej chce"...

Więc bractwo kombinuje, jak może:

— Janek, byłeś u tego „burżuja" na Dobrej?

— Byłem!

— Portrecik familijny?

— Gorzej, sama pani kupcowa!

— Będzie z dziewięćdziesiąt kilo wagi?

— Ale! Z górą sto, sam tłuszcz i piegi w tonacji Van Dyck'a!

— Bój się Boga, jakże zmieścisz to to na płotnie?

— Wielka kompozycja: dwa metry na trzy!

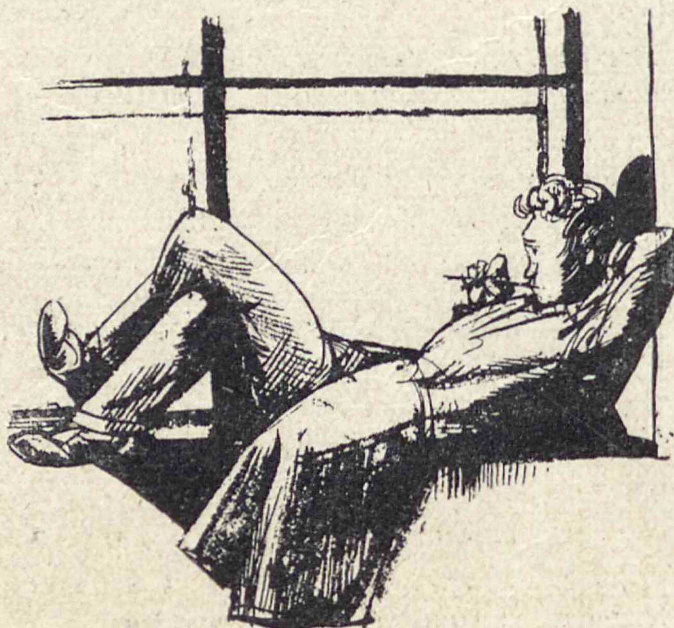
— A forsy?

— Jak lodu... pięćdziesiąt złotych!

W bratniackiej kuchni tłoczno i wesoło. Kiedyś, „za dobrych czasów", było tu jeszcze weselej, bo brać wojowała z przedstawicielką sztuki kulinarnej i wzdychała, że:

„Jest kucharka — piękna dama,
„Co ma nos hippopotama,
„Mieląc pyskiem, tak jak dyskiem,
„Talerzami rzuca w nos".

„Umaczanym w sosie tłustym
„Oburzonym trzęsie biustem,
„Cielęciną łzy ociera
„I na ciężki płacze los...".



Odpoczynek po pracy

Lecz od dwóch lat stosunki zmieniły się zasadniczo i z za okienka wygląda uśmiechnięta twarz pani, która i dokładkę nie wzdraga się dać, i często gęsto uraczy żurawinowym sokiem.

Zbiera się w kuchni sama śmietanka, to jest „pacykarze" i „rzeźba", którzy siedzą w szkole od dziewiątej zrana do ósmej wieczór, bez przerwy, i, którzy poza pracą i szkołą świata Bożego nie chcą widzieć, a tak się do miejsca przywiązują, że często w wiele lat po wyzwolinach i zdobyciu dyplomu przychodzą do bratniackiej jadłodajni, jakby do najmilszego pod słońcem klubu.

Tu też zazwyczaj wykluwają się wszystkie pomysły „szopkowe", „balowe", „wyzwolinowe" i ogólnie mówiąc „bałaganowe". Tu toczą się zaciekłe dysputy na temat kierunków w sztuce, wartości poszczególnych „landszaftów" i „kiczów", na temat zbiorowych imprez, lub częściej na temat wzajemnych słabostek i śmiesznostek. Że się zaś nikt nie obraża, tylko tą samą bronią odpowiada, więc i pięknie jest, i ładnie!

Nikogo się nie oszczędza, nawet profesorów, ba, samych dyrektorów, których w szkole jest obecnie zatrzęsienie: jeden szkolny, jeden departamentu, jeden wystawy poznańskiej, a pozatem każdy jest dyrektorem na „swoim podwórku".

Profesorowie szczerze lubią swych uczniów, uczniowie są często fanatycznymi zwolennikami profe-

scrów, co im nie przeszkadza podżartowywać sobie z nich w granicach zakreślonych szacunkiem i przyzwoitością.

O jednym z nich powiadają, że u niego:

„Która przystojna dziewczyna,
„zda napewno egzamina,
„a która wygląda szpetnie,
to się napewno obetnie!!!".

Każdy jednak dobrze wie, że to są jeno złośliwości. W praktyce brzydkie koleżanki mają pierwszeństwo, bo pracują intensywniej i prawdziwiej, a jednak, a jednak...:

„w dwóch rzeczach warto się kochać na [świecie:
„w starej stodole i w młodej kobiecie!
„Stodoła winna być sosnowa, stylowa, [ludowa!
„Kobieta musi być: zdrowa, różowa... [...morowa!!".

Któż nie słyszał w Warszawie o Szopce Szkoły Sztuk Pięknych, o tym dziwnym cudzie, zawdzięczając któremu ponurzy obywatele pokładają się od śmiechu, niby żaki, a pod statecznymi „personatami" załamują się z radości krzesła.

...Któż nie był na dorocznym balu kostjumowym, na którym, choć tłoczno, ludzie bawią się naprawdę szczerze, prosto i niewymuszenie, a zdrowa, radosna i młoda atmosfera Szkoły pcha ich do szaleństw, którychby normalnie nie popełnili, bo za głęboko ugrzęźli w snobizmie.

...W zeszłym roku jeden ze znanych inżynierów tańczył z krzesłem, a sędzia śledczy c-a-ł-o-w-a-ł *namalowaną* (nie *umalowaną*) modelkę...

Że zaś ktoś z kogoś czasem pożartuje, że słabostkę jaką mizerną wyciągnie na światło dzienne, to nie wstyd i nie grzech.

„To młodości przywileje,
„By na nerwach starszym grać,
„Każdy dziś się z kogoś śmieje,
„Więc i z was się wolno śmiać!".

Feljeton wypocił:
Bohdan Pawłowicz,
zaś wiersze ściągnięte ze starych
„Szopek",
których autorami trzej
„Bezimienni".

Bohdan Pawłowicz

Bajki wujka Czesia...

Zdawałoby się, że bajczarstwo jest najłatwiejszym rodzajem literackim. Wystarczy jednak sięgnąć po nasze zasoby w tej dziedzinie, by przekonać się, iż skarbiec niebardzo dopisuje. Bajki polskie przeważnie wałkują ogólnoeuropejskie motywy, nie dodając prawie nic z naszego kolorytu. Jeżeli trafimy na ślad naturalizacji — rezultat też nie będzie świetny. Wiemy przecież, kto pisuje bajki dla dzieci...

Dużą odwagę wykazał znany publicysta i dziennikarz, p. Czesław Kędzierski, że chciał wejść w ten fantastyczny świat bajki dla dzieci. Stało się to przez... radjo. P. Kędzierski objął na stacji nadawczej w Poznaniu pogadanki dla dzieci i to sprawiło, iż mamy teraz pokaźny tom



Czesław Kędzierski

bajek polskich. Są one w kolorycie lokalnym i w treści oparte na podaniach, klechdach rodzimych. Przeważnie dają bajeczny wykład różnych wielkopolskich fantastycznych wydarzeń. Dzieci wielkopolskie dla tych lokalnych cech miłych opowiadań wujka Czesia odrazu zareagowały jaknajżywszem zainteresowaniem i sympatją. Gdy dobiegała godzina 6 wieczorem, co środa, w każdym domu, gdzie jest radjo, mały Kazio czy Stasio siedzi potulnie ze słuchawkami na uszach przy aparacie.

Wuj Cześ pięknie przecież opowiada „jak powstała czerwona róża". Od niego dowiedziały się też dzieci, czemu na wieży ratuszowej w Poznaniu wygrywa trębacz hejnały! Baśni o Wesołem Ino, o złotem sercu, o dwóch braciach i niedobrym czarodzieju napewno zapamiętają na całe życie. W obecnie wydanej ozdobnej książce p. Czesław Kędzierski zebrał 21 tego rodzaju utworów. Będą one miłą pamiątką dla małych słuchaczy naszego „Radja" w Poznaniu, a dla dzieci, które nie słyszały tych bajek, wielką ucztą. Polecić je należy dzieciom wszystkich naszych dzielnic. Dzięki bajeczce Cz. Kędzierskiego dowiedzą się o Poznaniu, Kruszwicy, Inowrocławiu, rzekach, lasach, polach zachodniej rubieży naszej Rzeczpospolitej.

Wzruszą się napewno piękną treścią „czerwonej róży". Wyniosą zdrowy i pożyteczny morał z bajki „o dwóch braciach", których poróżniło złoto...

Bajki Wujka Czesia nadają się też do bibliotek przedszkoli, ochronek, szkółek wiejskich i powszechnych. Są one cennym nabytkiem naszej literatury dla dzieci.

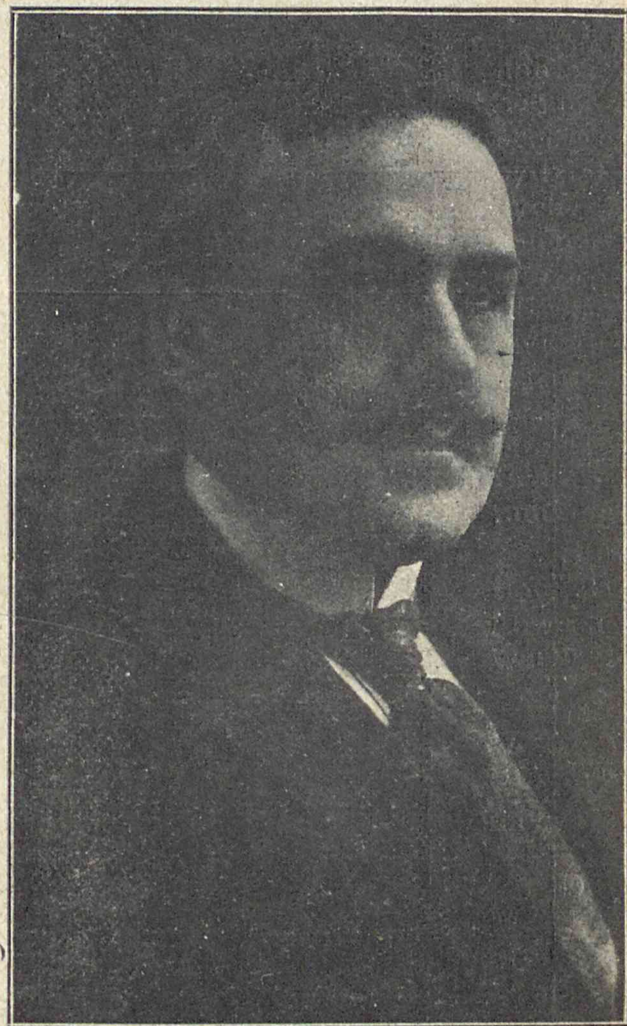
NOTATKI TEATRALNE

SZTUKA TEATRALNA W KILKU JĘZYKACH

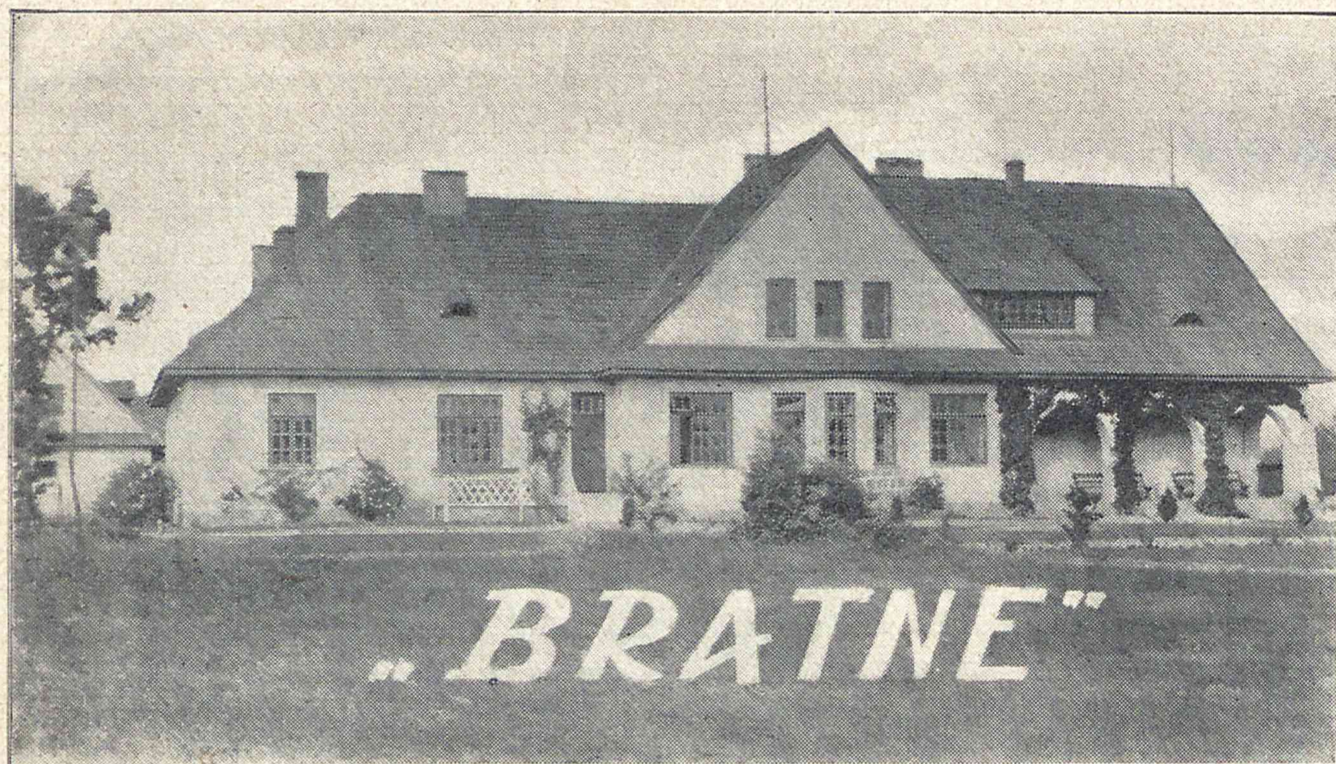
Starsze pokolenie miłośników teatru pamięta sztukę Franciszka Wedekinda, pt. „Puszka Pandory". Akcja jej rozgrywała się w czterech językach. Niektóre sceny napisane były w „hochdeutsch", kilka djalogów prowadzono w djalekcie szwajcarsko-niemieckim, poza tem przewijały się rozmówki po francusku i angielsku.

Teraz znów niemiecki pisarz Siggy Letzenburg w sztuce pt. „Pro Patria" używa również kilku języków dla osiągnięcia ekspresji. Francuski, angielski, niemiecki (w zróżnicowanych djalektach) przewijają się przez scenę, tworząc swoistą mieszaninę...

Z FILHARMONJI WARSZAWSKIEJ



Bolesław Szulc, wybitny kapelmistrz polski, dyrygował koncertami propagandowemi w Rydze z dużem powodzeniem. Dnia 3 lutego prowadził z dużem powodzeniem koncert symfoniczny w Filahrmonji Warszawskiej



Główny budynek szkolny wzniesiony przez Świętochowskiego

Skrępowana i upośledzana przez zaborców, musiała Polska społecznym wysiłkiem i funduszem tworzyć niejedną instytucję, która w wolnych narodach jest troską państwa. Do rzędu tych dzieł pożytecznych, które powstanie swoje zawdzięczały ofiarności zacnych obywateli kraju, należą również dwie szkoły rolnicze w powiecie Ciechanowskim w majątku Gołotczyna. Szkołę gospodarstwa wiejskiego dla dziewcząt stworzyła tu i utrzymywała własnym kosztem do wybuchu wojny zasłużona właścicielka tego folwarku, ś. p. Aleksandra Bąkowska. Męska szkoła rolnicza zawdzięcza swe powstanie wielkiemu pisarzowi, Aleksandrowi Świętochowskiemu, który, otrzymawszy w r. 1912 w darze od ś. p. Bąkowskiej 70 morgów ziemi, zbudował na tym terenie przy pomocy środków własnych i ofiarowanego mu funduszu jubileuszowego szkołę pod nazwą „Bratne". Aby umożliwić naukę w języku polskim, zalegalizowano obie szkoły, jako „fermy", w których zajęcia praktyczne objaśniano teoretycznie. Działania wojenne przerwały tok nauki i wyrządziły też obu zakładom ogromne szkody. Po odrodzeniu Polski, w r. 1920, ś. p. A. Bąkowska i A. Świętochowski przekazali oba zakłady na rzecz Państwa Polskiego, które zobowiązało się obok prowadzenia tych obu istniejących szkół stworzyć jeszcze szkołę ogrodniczą koedukacyjną w Krzewni.

Oba zakłady rozwijają się dziś bardzo pomyślnie. „Bratne" pod kierownictwem zasłużonego pedagoga, Marjana Czecha, szkoła żeńska pod przewodnictwem p. Sakowiczówny. S.



Inspekty



Praca w pasiece



Aleksander Świętochowski w otoczeniu uczniów i uczennic



Rezydencja gen. Bootha w Southwold w Anglji

Rewolucja w Armji Zbawienia

Armja Zbawienia przeżywa ciężkie przesilenie wewnętrzne. Przyczyną nie jest ani brak środków materjalnych, ani brak rekruta, lecz zamach stanu, dokonany przez część oficerów Armji, celem zmiany naczelnego dowództwa.

Sprawa wewnętrzna Armji Zbawienia, a jednak skupia uwagę całego cywilizowanego świata, nie mniej niż rewolucja w Afganistanie lub choroba króla angielskiego. U nas w Polsce przewrót ten znalazł, oczywiście, najsłabsze echo, dlatego że kraj nasz nie jest dotąd objęty działalnością Armji. Ale w przeważnej części państw starego i nowego świata musi wywoływać najżywsze zainteresowanie. Nie zapominajmy, że Armja Zbawienia posiada w chwili obecnej 15.000 korpusów w 82 krajach lub kolonjach zamorskich, że głosi swą naukę i swe ideje w 57 językach. Ogarnia swym wpływem Stany Zjednoczone, Kanadę, Anglję, Skandynawję, Niemcy, Francję, Indje, Australję itd., itd., sięga do Chin, Korei, Japonji, więc na krańce dalekiego wschodu, wyciąga macki daleko ku północy i daleko ku południowi kuli ziemskiej.



General William Booth, założyciel „Armji Zbawienia".

Roczny budżet jej zamierzeń zamyka się dziesiątkami miljonów. Organizacja utrzymuje tysiące szkół, liczne przytułki dla mężczyzn i kobiet, z górą 200 olbrzymich domów robotniczych, schroniska dla matek, instytucje przemysłowe, gdzie kształci swych żołnierzy w praktycznych zawodach, przytułki dla alkoholików, uwolnionych skazańców itp. Jest to więc dzieło o doniosłem społecznem znaczeniu i nie dziw, że losy jego w przełomowej chwili wywołują tak powszechne zajęcie.

Jak wiadomo, twórcą tego dzieła był pastor William Booth. W połowie ubiegłego wieku wystąpił on z kościoła metodystów i począł praktykować i głosić własne ideje ewangeliczne. W ciągu niewielu lat pozyskał licznych zwolenników. „Miał umysł władczy — mówi jeden z jego historjografów — któremu nie można się było oprzeć. Nazywaliśmy go „generałem" na długi czas przed powstaniem „Armji Zbawienia". Jedną z wybitnych zalet Bootha był niezwykły talent organizacyjny, umiejętność doboru pracowników i odpowiedniego wykorzystania ich zdolności. W pracy energicznie pomagała mu żona, Katarzyna Mumford. Mrs. Booth „matka Armji Zbawienia" jest czczona przez członków organizacji, jak święta.

Formy wojskowe otrzymała organizacja w styczniu 1978 r. „Misja chrześciańska" — tak bowiem brzmiała pierwotna nazwa — nazwała się najpierw w krzykliwych afiszach „Armją Alleluja", niedługo później „Armją Zbawienia". Stopnie wojskowe wzorowano na hierarchji brytańskiej. William Booth miał naczelną władzę z tytułem generała. Celem reorganizacji było zapewnić szybkość działania, lepszy porządek wewnętrzny i ekonomję czasu i pieniędzy. „Nasze dzieło — głosił generał — jest nadzwyczajne, więc, by je wypełnić, musimy posługiwać się nadzwyczajnemi środkami".

Obmyślono charakterystyczny mundur, kapelusz „alleluja", sztandar niebiesko czerwony z żółtą gwiazdą (symbole świętobliwości, krwi Chrystusowej i Świętego Ducha) i wnet na ulice miast wyruszyły hałaśliwe procesje, śpiewające, trąbiące, budzące to sensację, to zgorszenie, to ironję. „Nasza instytucja chrześcijańska — wyjaśniał generał tę maskaradę — jest nawskroś demokratyczną. Mundur, trąby, sztandary, pochody, wszystko to odpowiada upodobaniom i naturze najszerszych warstw ludności, które nie mogą zrozumieć, czemu radość, śpiew i muzyka miałyby być wyłącznym przywilejem uroczystości świeckich". Metoda okazała się dobrą. Armja rosła szybko w siły, a szydercy umilkli, bo tę maskaradę okupowały dzieła społeczne, naprawdę szlachetne i pożyteczne.

W akcji swojej miał generał niezwykle oddanych i fanatycznych pomocników: własną liczną bardzo rodzinę, ośmioro dzieci, trzech synów i pięć córek. Najstarszym synem a zarazem ulubieńcem ojca był Bramwell. Naogół wszystkie dzieci odznaczały się oryginalnością i wyróżniały się umysłowo z pośród rówieśników. Wszystkie też przez dłuższy czas gorliwie współpracowały z rodzicami, krzewiąc zasady Armji Zbawienia. Rodzina rozproszyła się po całym świecie i temu w pewnej mierze przypisać zapewne trzeba rozpowszechnienie się idei Bootha w tylu tak odległych krajach.

Najmniej zamiłowania do propagandy przejawiał zrazu najstarszy Bramwell. Marzył on o zawodzie chirurga i już jako dziecko „operował" lalki swych sióstr; ku rozpaczy tychże, które daremnie usiłowały ukrywać przed nim „cierpiących pacjentów". Z biegiem lat jednak Bramwell pokochał dzieło ojca i poświęcił mu wszystkie siły. Drugi syn Ballington, po śmierci ojca założył heretycką grupę Armji, ale nie zdobył powodzenia. Trzeci, Herbert, był muzykiem i jego kompozycji są prawie wszystkie hymny, śpiewane przez Armję. Z pośród córek wyróżniła się zwłaszcza najstarsza Katarzyna, organizatorka francuskich korpusów, głośna niegdyś w Paryżu z urody, ekscentryczności i ewangelicznego zapału. Propagandą w Ameryce zajęła się inna z córek, Ewangelina, o charakterze energicznym i



General Bramwell Booth, szef „Armji Zbawienia"



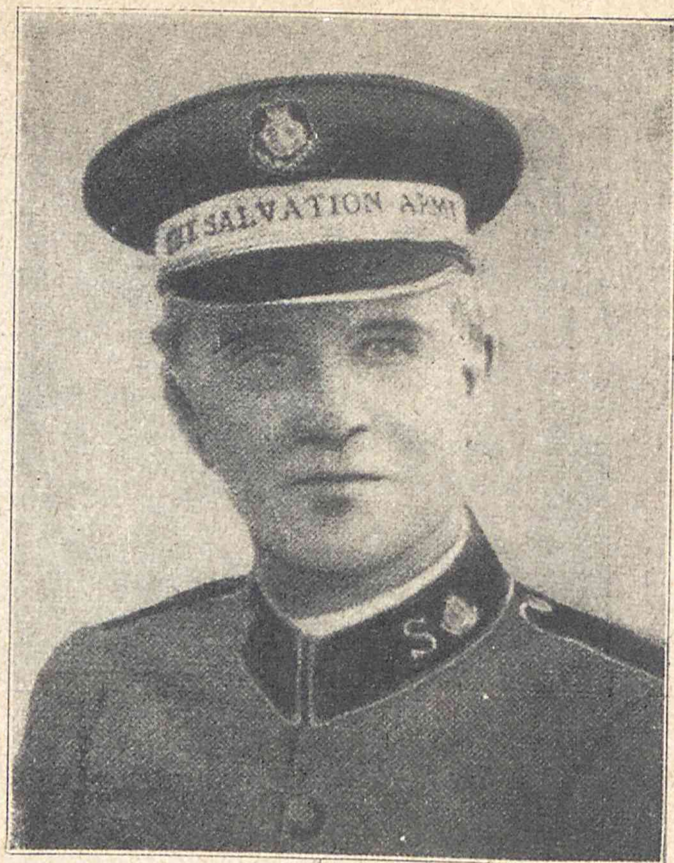
Katarzyna Booth,
„matka Armji Zbawienia" w r. 1878.

władczym, przypominającym ojca. Ona też dzisiaj jest jedną z głównych sprężyn abdykacji przymusowej brata, po którym chciałaby objąć ster rządów. Stoi ona na czele „reformistów", którzy dążą do tego, aby naczelny rząd Armji był wybieralny, a nie dziedziczny.

Od czasów powstania Armji Zbawienia, około r. 1878, kwestja następstwa wyłoniła się tylko raz po śmierci założyciela i pierwszego generała Wliiama Bootha. Wowczas jednak załatwienie sprawy nie napotkało trudności. Generał pozostawił w zapieczętowanej kopercie, zdeponowanej u notarjusza, nazwisko tego, kto miał odziedziczyć jego władzę, tytuły, godności i odpowiedzialność. Tym wyznaczonym następcą był Bramwell Booth. Nikt wówczas nie zaprotestował przeciwko tej dynastycznej koncepcji. Zresztą Bramwell okazał się godnym spadkobiercą. Pod jego kierownictwem dzieło rozwijało się pomyślnie dalej. Był jednocześnie myślicielem i bussinesmanem. Utrzymywał w odpowiedniem napięciu ideowość Armji, oraz pomnażał środki materjalne, co pozwalało tworzyć nowe instytucje społeczne i okazywać wydatną pomoc coraz szerszym tłumom. Poślubiwszy w r. 1882 Florencję Soper, miał z nią dwóch synów i cztery córki, które podjęły również pracę misjonarską.

Od dawna już nurtowały w łonie Armji prądy opozycyjne; generał umiał je poskromić i utrzymać na wodzy wszystkie próby reformatorskie. Lecz w ostatnim czasie zagroziły mu jeszcze dwa wrogie elementy: sędziwy wiek i długotrwała, ciężka choroba. Opozycja wykorzystała to, by wzmódz swój atak. W styczniu b. r. zebrała się w Sunbury Court, we wspaniałej willi, ofiarowanej Armji Zbawienia przez pewnego bogatego amerykanina, Wielka Rada organizacji. Zwołał ją szef sztabu Armji, komisarz Higgins, a do stołu obrad zasiadło 63 komisarzy, którzy przybyli ze wszystkich stron świata. Rozpoczęła się generalna rozprawa między Bramwellem i jego poplecznikami z jednej strony a przywódcami reformistów, Higginsem i Ewangeliną Booth z drugiej.

W pewnej chwili narad powtórzyła się niejako scena z Fontainebleau, kiedyto marszałkowie przymuszali Napoleona do abdykacji. Generał Bramwell Booth, dziedzic założyciela, oficer salutysta od lat zgórą pięćdziesięciu, a od szesnastu lat naczelny szef Armji Zbawienia, został poproszony, by ustąpił ze względu na zły



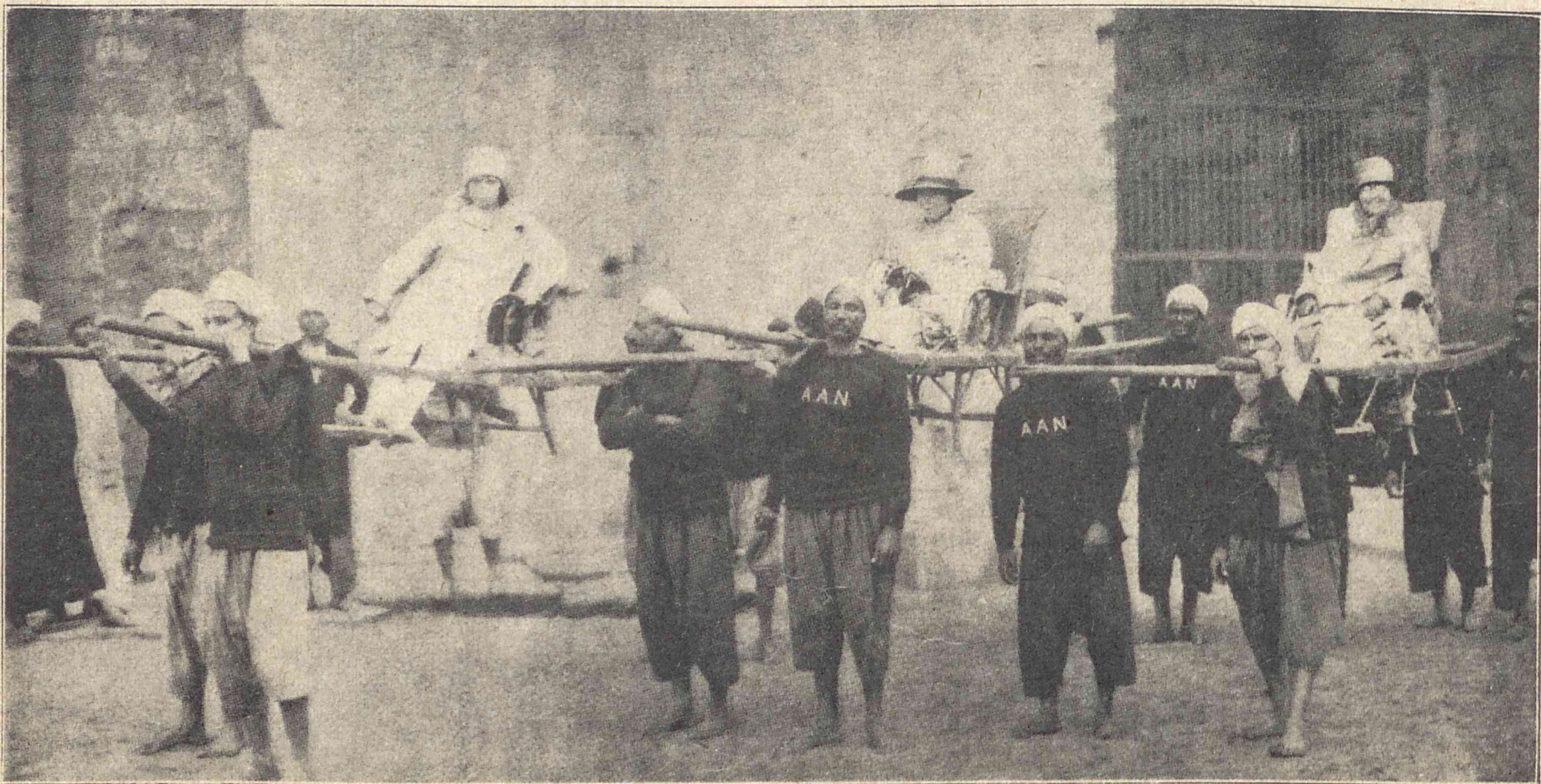
Szef sztabu Higgins, przywódca rewolucjonistów

stan zdrowia. Kategorycznie odmówiono mu prawa desygnowania następcy.

15.000 korpusów Armji Zbawienia, rozrzuconych po całej niemal kuli ziemskiej, pozostało bez naczelnego wodza. A opinja publiczna tych krajów śledzi z zainteresowaniem bieg wypadków w sferach rządzących Armji, albowiem od ukształtowania się stosunków zależy dalszy los wielu urządzeń społeczno-humanitarnych, stworzonych ku pożytkowi szerokiego ogółu przez dwóch dynastów Armji Zbawienia: Williama i Bramwella Boothów.

S. U.

SEZON WYCIECZKOWO-ODPOCZYNKOWY W EGIPCIE

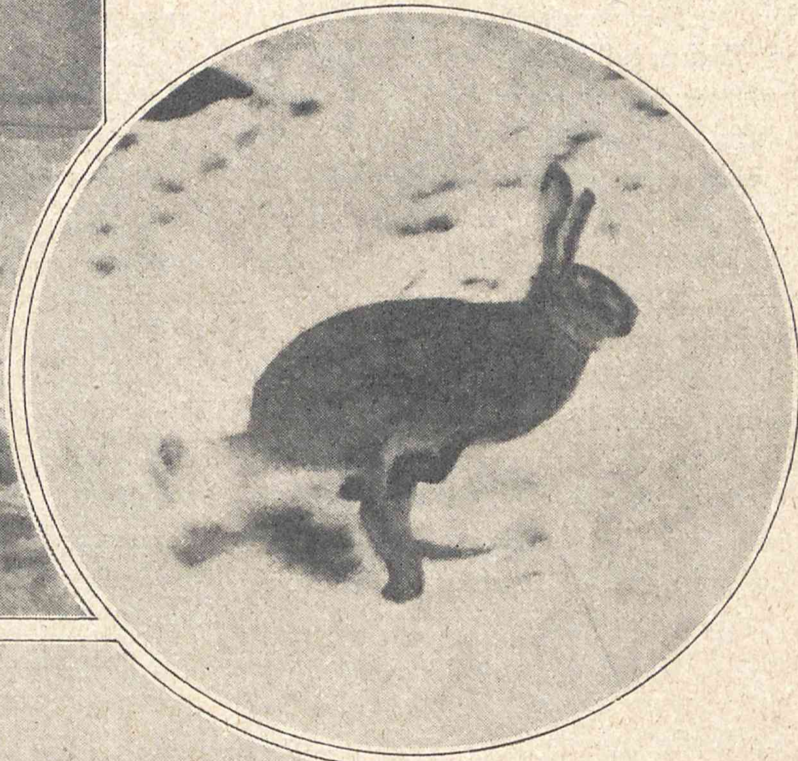


W chwili obecnej sezon wycieczkowo - odpoczynkowy w Egipcie jest w całej pełni. Jak zwykle, hotele przepełnione są anglikami i amerykanami. Transportem turystów zajmują się miejscowi tragarze: jest to stary sposób lokomocji, wysoce ciekawy i niezwykły w epoce samolotów i automobilów.

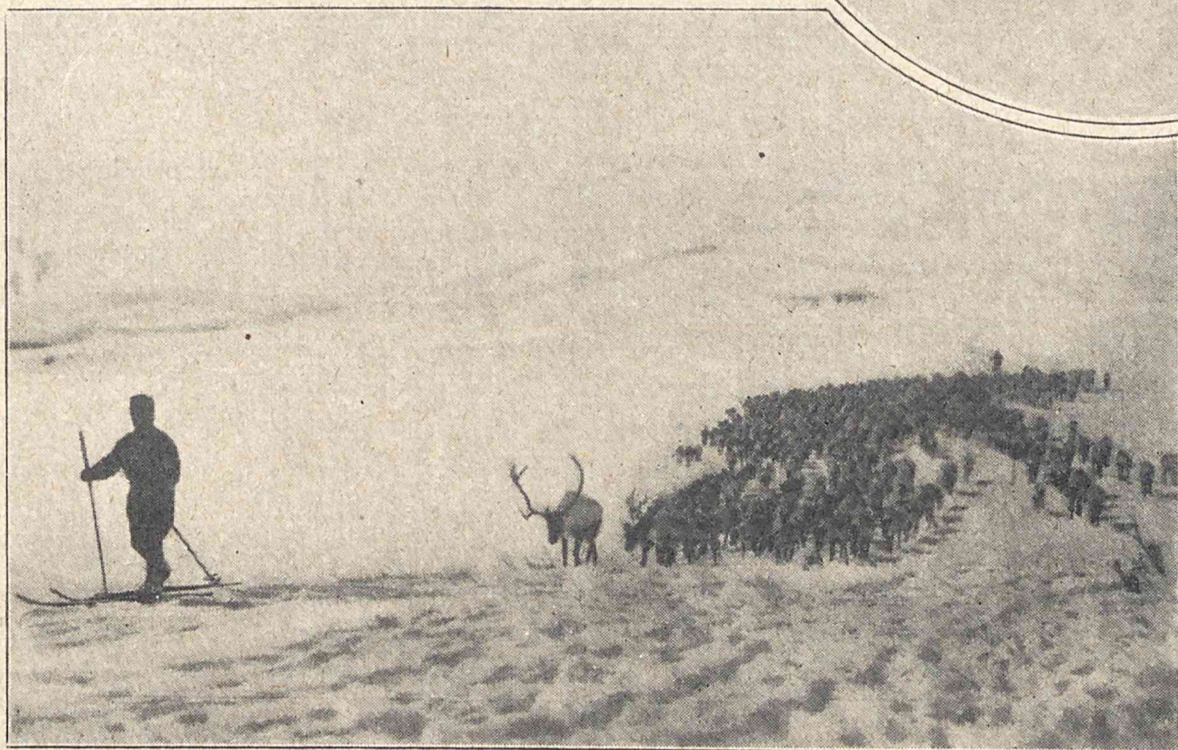
SEZON ZIMOWY:
POLOWANIA, SPORTY



Stary jeleń, węszący niebezpieczeństwo



Zając w skoku wietrzący niebezpieczeństwo



Lapończyk prowadzi stado reniferów

Fot. (Phot. Thomasson)



Z polowań na Kresach pod Maniewiczami: red. Geysztor i Florkowski



Najlepsza recepta na febrę: sport alpejski

NOWE KSIĄŻKI FRANCUSKIE

Cała prasa paryska, lub powiedzmy lepiej francuska robi dużo hałasu dokoła ostatniej książki znanego pisarza André Maurois „Klimaty". Myśl dosyć ciekawa: ludzie, z którymi żyjemy blizko i długo, są dla dusz naszych tem, czem jest klimat dla naszych organizmów fizycznych. W książce André Maurois rolę dominującą „klimatu" moralnego spełnia bezsprzecznie element kobiecy, reprezentowany przez dwie żony i przyjaciółkę bohatera powieści. Pierwsza żona Filipa Marcenat, piękna Odila, jest naturą nawskroś amoralną, bardzo artystyczną, nieobliczalną, uroczą, kapryśną, wciąż w pogoni za czemś nowem. „Klimat" Odili zrazu razi Filipa Marcenat, potomka starej, pełnej tradycji rodziny mieszczańskiej, potem ciąży mu boleśnie, wreszcie zaczyna mu stawać się niezbędnym. Podlaskie przysłowie mówi: „gdy robak wgryzie się w chrzan, to i chrzan mu słodki". Coś podobnego dzieje się i z bohaterem powieści p. Maurois. Odila porzuci go dla nowej miłości i zaślubi pięknego oficera marynarki, ulubieńca kobiet. Ten jednak, nawykły do uwielbień i do uległości ze strony kobiet, nie odznacza się cierpliwością, ani wytrwałością sentymentalną Filipa Marcenat. Bardzo prędko znudzi go żona, która jest *tylko piękna*, i poszuka innych podbojów miłosnych. Zrozpaczona i głęboko upokorzona Odila zabija się, żałowana serdecznie przez swego pierwszego męża.

Mija lat parę. Wielka wojna i zawierucha światowa zmieniają wiele. Filip Marcenat poznaje młodą wdowę, piękną, inteligentną, wykształconą, i pociągnięty jej urodą i zaletami umysłu i charakteru, szuka szczęścia w powtórnem małżeństwie. Izabela posiada charakter mocny i zrównoważony, a przytem niezwykle szlachetny i lojalny. Ale Filip Marcenat, który przed swojem małżeństwem z Odilą był tem, czem jest Izabela, przywykł do innego duchowego „klimatu". Ma kochanki, podobne duchowo do Odili, i Izabela cierpi z powodu męża, tak, jak on cierpiał niegdyś z powodu Odili. Powoli jednak, opuszczony przez swą kochankę, Filip zaczyna zbliżać się nieco do żony, którą kocha i wysoko stawia jego rodzina. Ale nie danem mu jest powrócić do swego dawnego „klimatu". Banalne przeziębienie i bohater powieści umiera, może na drodze do przewrotu duchowego.

Jak niegdyś wiele kobiet upodobniało siebie do bohaterek romansów Colette, tak obecnie wiele młodych niewiast „Snobinettes" doszuka się swego podobieństwa z Odilą, lecz mniejsza o to. Powieść André Maurois jest bezwątpienia dobrze napisaną, ciekawą książką dla bardzo szerokiego ogółu, czego dowodem zresztą jest jej ogromna poczytność i powodzenie. Iskry genjuszu niema w niej, ale przeczytać ją może każdy z ciekawością i z przyjemnością i powrócić do niej. Typ dobrej współczesnej powieści, prawie klasycznej.

O wiele bardziej głęboką, lecz bardziej ciężką w czytaniu i mniej dostępną dla ogółu czytelników jest powieść André Malraux „Les Conquérants" (Zawojujący). Zapewne jedna to z najciekawszych powieści francuskich ostatnich miesięcy. Tło: Chiny i rewolucja, bohaterzy — Chińczycy i bolszewicy. Wśród Chińczyków wybijają się na pierwszy plan sylwetki wyraziście narysowane mędrca staro - chińskiego pokroju i komunisty chińskiego. Pierwszy wyrzekł się wszystkiego, co posiadał, dla dobra swych ubogich współbraci, drugi zna tylko nienawiść bez granic dla wszystkiego, co nie jest w jego przekonaniu proletarjatem. Naprzeciw nich ciężka postać ruskiego rewolucjonisty Borodina i ostry profil głównego bohatera powieści, Garina, człowieka, czyniącego zło dla miłości zła, jednostki silnej i mądrej, ale pozbawionej wszelkich skrupułów, wszelkiego dogmatu. Podobnych typów spotyka się mnóstwo w przedwojennej literaturze rosyjskiej, w której ów „homme fatal" był niezwykle modny przez czas jakiś. Lecz „homme fatal" rosyjski był pojęty i ujęty w sposób sentymentalny i rządził się głównie uczuciem, podczas gdy „homme fatal" francusko - rosyjski jest pojęty w sposób czysto intelektualny i rządzi się rozumem. W osobie Garina autor stworzył typ nowy i niezwykły, zasługujący na uwagę.

Ciężka atmosfera panuje również w nowej powieści André Chamson „Le crime des Justes" (Zbrodnia sprawiedliwych). Historja rodziny wiejskiej, wodzącej oddawna rej w swej okolicy, zastygłej w cnocie i obowiązku, ale nieco drewnianej. Na litość niema miejsca w tych sercach i dlatego gdy biedna głuchoniema z tej rodziny, wykroczy nieświadomie przeciw ich surowym zasadom, nie cofną się przed zbrodnią, aby uratować honor rodziny i uniknąć wstydu. Zbrodnia jednak wyda się i zniszczy dobrobyt i moralne stanowisko rodziny.

Dużo mówi się o powieści René Blahaine „Avas les yeux de l'esprit" (oczyma rozumu), bardzo chwalonej przez *l'Action Francaise* i Leona Daudet. Książka ciężka, rozwlekła, od czasu do czasu zawiera ładne ustępy, lecz naogół czytelnik nie wie dobrze, czego właściwie chce autor i czego chcą sami bohaterowie powieści.

Śliczna, trochę przypominająca niektóre powieści angielskie, ale niezmiernie francuska przez swój wdzięk lekki, uśmiechnięty i uroczy, mimo grozy niektórych sytuacji, jest ostatnia powieść Henri Poulaille „Le train fou" (Szalony pociąg). Bohaterem jej jest... pociąg, który stracił swe hamulce i pędzi bez końca przez całą noc, dopóki wreszcie, dzięki przytomności umysłu personelu, wystygła lokomotywa nie zatrzyma się w pustem polu. Niezwykłość sytuacji, ciekawie oryginalny styl, wybornie podkreślający tempo opowiadania, umiejętność autora w wytwarzaniu pewnej atmosfery grozy i oczekiwania, wcale jednak niepoponurej, wszystko razem czyni tę powieść bardzo interesującą i stwarza jej pewne odrębne miejsce wśród ostatnio wydanych powieści.

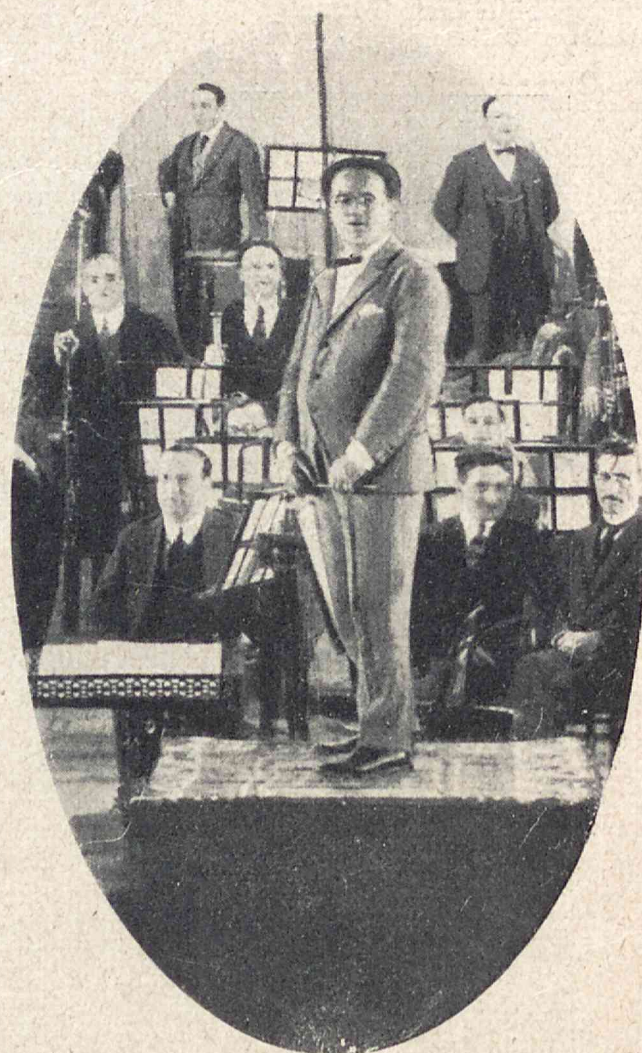
Wspomnijmy wreszcie o książce księżny Marty Bibescu „Szlachectwo sukni". Szereg wdzięcznych obrazków z modnego życia paryskiego. Zwiedza tu czytelnik modne pracownie krawieckie, modystek, etc, etc., dowiaduje się setek drobnych tajemnic z życia kobiety „modern" i z życia modnego Paryża. Całość pisana lekko i dowcipnie, jak większość książek pani Bibescu, czyta się bardzo miło. Podobno dużo książek pani Bibescu są to t. zw. „*livres à clef*" i ci, którzy dobrze znają świat paryski, bez trudu odgadują prototypy bohaterów i bohaterek.

Oprócz „Noblesse de la Robe" pani Bibescu wydała jeszcze świeżo: „Au bal avec Marcel Proust" t. j. zbiór swych wspomnień o znanym, lat temu parę zmarłym, pisarzu francuskim.

Paryż.

Dr. M. Kasterska

MUZYKA POLSKA W BUENOS - AIRES



Grzegorz Fitelberg, znakomity, ceniony, kapelmistrz, dyrygował 12 koncertami symfonicznemi w Teatrze Colon w Buenos - Aires. Wprowadził na repertuar utwory K. Szymanowskiego, L. Różyckiego i Cz. Marka. Dyrygował też kilkoma przedstawieniami operowemi i baletowemi. Prasa i publiczność przyjęły występy G. Fitelberga wyróżniająco.



Król Borys na uroczystościach Trzech Króli, po święceniu wody, tak zwanego Jordanu, całuje krzyż, który mu podaje patryarcha Stefan

„PANIENKA Z DANCINGU"

Miła bohaterka ostatniej komedji Stefana Krzywoszewskiego jest urodziwą lilją niewieścią na nowoczesnem bagnie społecznem. Dziewiczość nie jest celem sama dla siebie. Struktura świata od najdawniejszych jego prapoczątków najwyraźniej wskazuje, iż dziewiczość na to dojrzewa, aby przestała być sobą. „Na początku była chuć" — mówi Przybyszewski. „Rozmnażajcie się, jak piasek morski" — czytamy w Starym Testamencie. Wszystkie siły natury sprzysięgają się przeciwko dziewiczości: wiosenne powiewy, letni księżyc, zimowy karnawał, zawiesiste jedzenie, oszałamiające wino, muzyka, śpiew, taniec... no i ów wyrok przedwieczny, mówiący o piasku morskim, zgóry skazujący dziewiczość na kapitulację, jako na naturalny jej obowiązek. Cnota niewieścia przypomina butelkę benzyny, otoczoną językami ognia. Moralność ludzka powiada: „Nie zapal się, śliczna beczułko", — ale jednocześnie ludzie ją podpalają.

Dzisiejszość między innemi tem się różni od wczorajszości, że dobrze wychowane panienki nie zapatrują się już na dziewiczość ze stanowiska mistycznego. Rozumieją, że panna się rodzi na to, aby być kobietą, że całe życie być panną to zadawanie gwałtu wszechwładnej naturze, i że z tego gwałtu nikomu na świecie nie bywa lepiej. Hańbą jest nie to, że się zaczęło być kobietą w warunkach, wykluczających formalności urzędowe, związane z tym przełomowym faktem, lecz ewentualne traktowanie tego faktu ze stanowiska korzyści finansowych. Dzisiejsza młodzież płci obojga w przeciwstawieniu do przeciętnej młodzieży z przed półwiecza rozumie, że nie ta młoda dziewczyna popełniła rzecz brzydką, która w porywie uczuć miłosnych zapragnęła bez obopólnych zobowiązań prawnych należeć do człowieka kochanego, lecz ta młoda panna, która na zimno, z wyrachowania stanęła na ślubnym kobiercu z obojętnym jej, albo z niemiłym jej bogaczem.

Bohaterka nowej komedji Krzywoszewskiego zakochała się w młodym człowieku, muśniętym czterdziestką, zamożnym, nie uznającym sentymentów i traktującym kobietę i rozkosze, zawarte w kobiecie, po amerykańsku prozaicznie. Sama jest uboga, chociaż z inteligentnej, niegdyś dostatnio żyjącej, rodziny. Nic nie umie, więc w tajemnicy przed matką zarabia na życie, jako tancerka dancingowa. O tem wie tylko jej brat, uczeń siódmej klasy, czy student uniwersytetu. Matce powiedzieli, że Marysia pracuje w telefonach. W eleganckiej restauracji warszawskiej pana Woreczka *(Antoni Fertner)* oczywiście nikt nie wierzy w klasyczną cnotę uroczej Marysi, a odprowadzający ją co wieczór do tego zakładu rozrywkowego młody jej brat uchodzi w oczach kelnerów za ubogiego kochanka panny Marysi. Tak samo sądzi pannę Marysię Stanisław Krzesławski, ów zamożny gentleman, w którym się zadurzyła panna Marysia, lecz której nie udaje mu się zdobyć, co go tembardziej podnieca.

W pierwszym akcie (odsłona druga) Krzywoszewski z niepospolitą umiejętnością starego majstra scenicznego roztacza przed nami niezdrową atmosferę wielkomiejskiego pałacu dancingowych upojeń. Modnie ubrane kobiety, różnej wytworności złota młodzież, panowie dawnego autoramentu i „nowi panowie", niezupełnie jeszcze przystosowani do stąpania po gładkich parkietach, pewny siebie duży przemysł i nerwowe niebieskie ptactwo, huczny jazz - band, arogancki saksofon, bezczelnie uprzejmi garsoni, obleśny *maître d'hotel*, szampan, dużo światła, po kątach wydywanowanego hallu przyczajeni wierzyciele o ponurem wejrzeniu, i, unikający ich i poskramiający ich natarczywość właściciel restauracji, świetny a trywialny. Panuje tu przykra wesołość, sprzedawana za grube pieniądze, nie zawsze jednak będąca na składzie. Na tem tle panienka inteligentna, uczciwa, śliczna, spragniona życia, dostatku, lecz przedewszystkiem miłości, dwudziestoczteroletnie stworzenie, które zaczyna rozumieć potęgę braku posagu, grozę samotności na całą przyszłość, urocza Marysia, tańcząca nad przepaścią spodziewanego upadku własnego, ach! i byle to było z wybranym, byle to było rzeczywistem szczęściem, najgoręcej przeżytem, skoro nie może być trwałem; niech to będzie tydzień, trzy dni, ale szczerze, głęboko, z własnej najwewnętrzniejszej woli!

Dalszego ciągu nie opowiem, abyście, szanowni czytelnicy, mieli przyjemność w teatrze śledzenia biegu wypadków, rozwijających się dla was po raz pierwszy. Pokazałem wam bohaterkę *en face*, bohatera z profilu i „bajecznie kolorowe" środowisko. Panienka z dancingu jest zdecydowana... Jakże to będzie dalej? Czy w epoce rozwielmożnionego dolara niema miejsca na szczęście, pragnące nic nie wiedzieć o rachunkach?

Danie odpowiedzi na to pytanie pozostawiam autorowi i jego miłym wykonawcom z p. Gorczyńską na czele. Rolę uroczej Marysi zaliczy p. Gorczyńska do najwdzięczniejszych swoich popisów. Była śliczna i w rozigraniu pełna delikatności. To też publiczność premjerowa głównie w jej małe rączki sypała grzmiące brawa pod adresem nieobecnego w teatrze autora. Kurtyna wielokrotnie szła w górę. Sztuka ma zapewnione wielkie powodzenie.

Wacław Grubiński

TEATR LETNI: „PANIENKA Z DANCINGU", KOMEDJA W 3 AKT. ST. KRZYWOSZEWSKIEGO



Akt. I. Obraz II. Kasa dancing'u, oblężona przez natrętnych wierzycieli.

Fot. J. Malarski



Antoni Fertner, niezrównany w roli właściciela dancing'u, Woreczka, budzi nieustanne wybuchy śmiechu

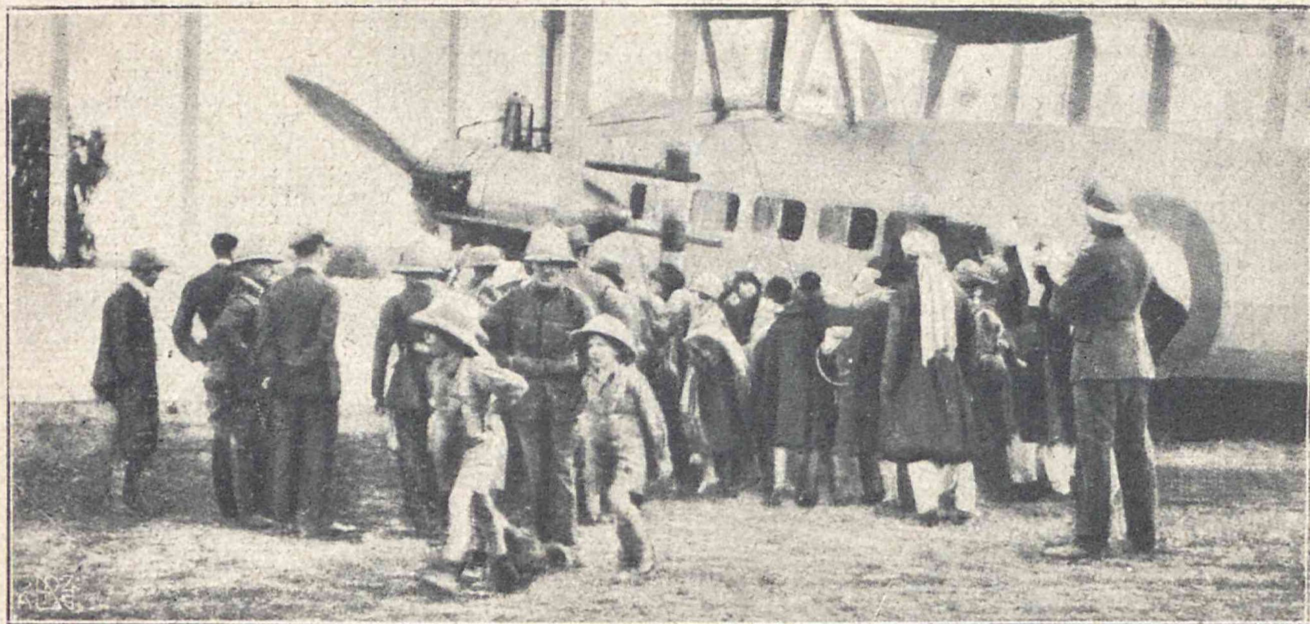


Para uroczych kochanków, świetna w tytułowej roli p. Gorczyńska i p. Łuszczewski



Na próbie generalnej. Wykonawcy, reżyser i autor (od prawej do lewej) pp.: Antoni Fertner (Woreczek), Łuszczewski, dyr. Em. Chaberski, który znakomicie wyreżyserował i wystawił sztukę, M. Gorczyńska i autor.

Akt. II. „Sen Marysi", świetnie przez dyr. Chaberskiego zrealizowany. Fot. J. Malarski



Ostre walki dookoła Kabulu skłoniły europejczyków do ucieczki aeroplanami. Angielska służba lotnicza przewiozła najpierw kobiety i dzieci do Peszawaru.

Dyskusja w sprawach teatralnych

Miły nasz kolega, Juljusz Kaden - Bandrowski, utalentowany powieściopisarz i doskonały znawca muzyki, wdał się bez koniecznej potrzeby w dyskusję nad sprawami teatralnemi. W „Głosie Prawdy" wystąpił ostro w obronie „literatury w teatrze", a przeciw „zręcznym" wyrobnikom „galanterji teatralnej", t. j. autorom dramatycznym polskim, którzy rzekomo tej literaturze dostęp do Teatru Narodowego hamują. Zaś w Radzie Miejskiej zawziął się na Teatr Letni, domagając się jego zamknięcia.

W ten sposób Kaden - Bandrowski zdaje się wykluczać autorów dramatycznych, — „dostawców repertuaru", — z literatury. Przyszłość pokaże, co okaże się bardziej długowiecznem: wychwalane dziś powieści, czy poniewierane przez doraźną krytykę komedje i dramaty. Ten podział możeby także inaczej określić: literatura, która doznaje w teatrze powodzenia, i literatura, która powodzenia nie może zdobyć. Że ta ostatnia szuka rekompensat moralnych, któż będzie się dziwił!

Literatura, wielka literatura w teatrze? Wszyscy jej pragniemy. Ale dobrej literatury, natchnionej rzetelnem odczuciem sceny. Szekspir, Molier, Beaumarchais, Goldoni, Słowacki, Fredro, Wyspiański! Bo niema nic gorszego w teatrze, jak literatura papierowa, pozbawiona zarodków życia scenicznego.

To, co niespokojnemu snobizmowi dnia dzisiejszego wydaje się „galanterją teatralną", okazuje się nieraz dziełem sztuki teatralnej trwalszej wartości. I odwrotnie. To, czem zblazowany pięknoduch zachwyca się w teatrze dziś, jutro zdumiewać będzie swą pustką i sztucznością.

Kaden - Bandrowski pisze:

— „Objektywna krytyka stwierdziłaby z pewnością, iż poziom sztuki autorskiej w dziedzinie teatru jest o wiele niższy, niż w poezji, czy nawet w prozie".

Miły przyjacielu! Jakąż to krytykę uważasz za objektywną? Czy tę, która pisze o Tobie dytyramby, czy tę, która tarza Cię w błocie? I skąd ten ton wzgardliwy, tak niewłaściwy w stosunku jednego pisarza do innych pisarzy! Sam przecież próbowałeś teatru, a jeśli próba się nie udała, czyż to dostateczny powód, aby szczęśliwszych kolegów traktować lekceważąco?

— — — — — —

Zabłąkawszy się w tych manowcach, Kaden - Bandrowski oddaje hołd zasługom nowego kierownictwa literackiego Teatru Narodowego: uznaje ono polskich autorów tylko w tym wypadku, jeśli są nieboszczykami. Fredro, Słowacki, Wyspiański. Że komedja Perzyńskiego otworzyła tegoroczny sezon, był to zwykły przypadek, zobowiązanie dyrekcji poprzedniej. Dla żyjących autorów polskich nowe kierownictwo literackie nie zdradza żadnych sympatji. Nie troszczmy się jednak o ich los. Przejdą ze swą „galanterją teatralną" do teatrów p. Szyfmana, które już w tym roku więcej będą miały premjer oryginalnych, niż kiedykolwiek. Zaś w Teatrze Narodowym będziemy podziwiać dramaty francuskie, których we Francji nie chcą wystawiać, farsy i komedje angielskie. Więc pocóż rozdzierać szaty? Wszystko idzie ku lepszemu. Jeszcze tylko trzeba zamknąć Teatr Letni, jedyny z teatrów miejskich, który daje dochód, — który mógłby dawać dochód znacznie większy. Oczywiście. Miasto powinno unikać imprez, które się opłacają. Teatry nie powinny stosować się do upodobań publiczności. Oddawna już w Polsce wiadomo, że nie tabakiera jest dla nosa, lecz nos dla tabakiery.

A możeby zebrać w Teatrze Letnim wszystkich żyjących autorów dramatycznych polskich, i starą budę wraz z nimi poprostu spalić?...

Sztuka kierowania teatrami jest o wiele trudniejszą, niż to wydaje się pewnym entuzjastom i figlarzom. Trudność leży w tem, że trzeba uzgodnić postulaty sztuki i kultury z nastrojami publiczności, z warunkami realizacji scenicznej i z możliwościami budżetowemi.

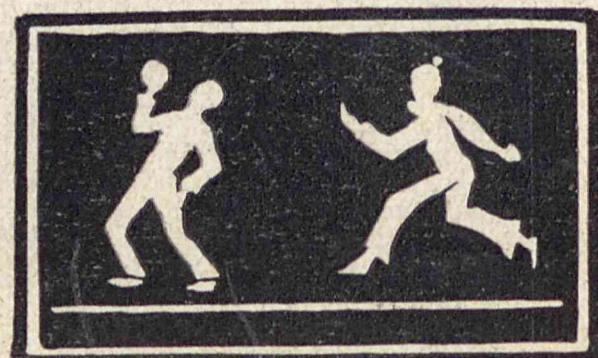
— — — — — —

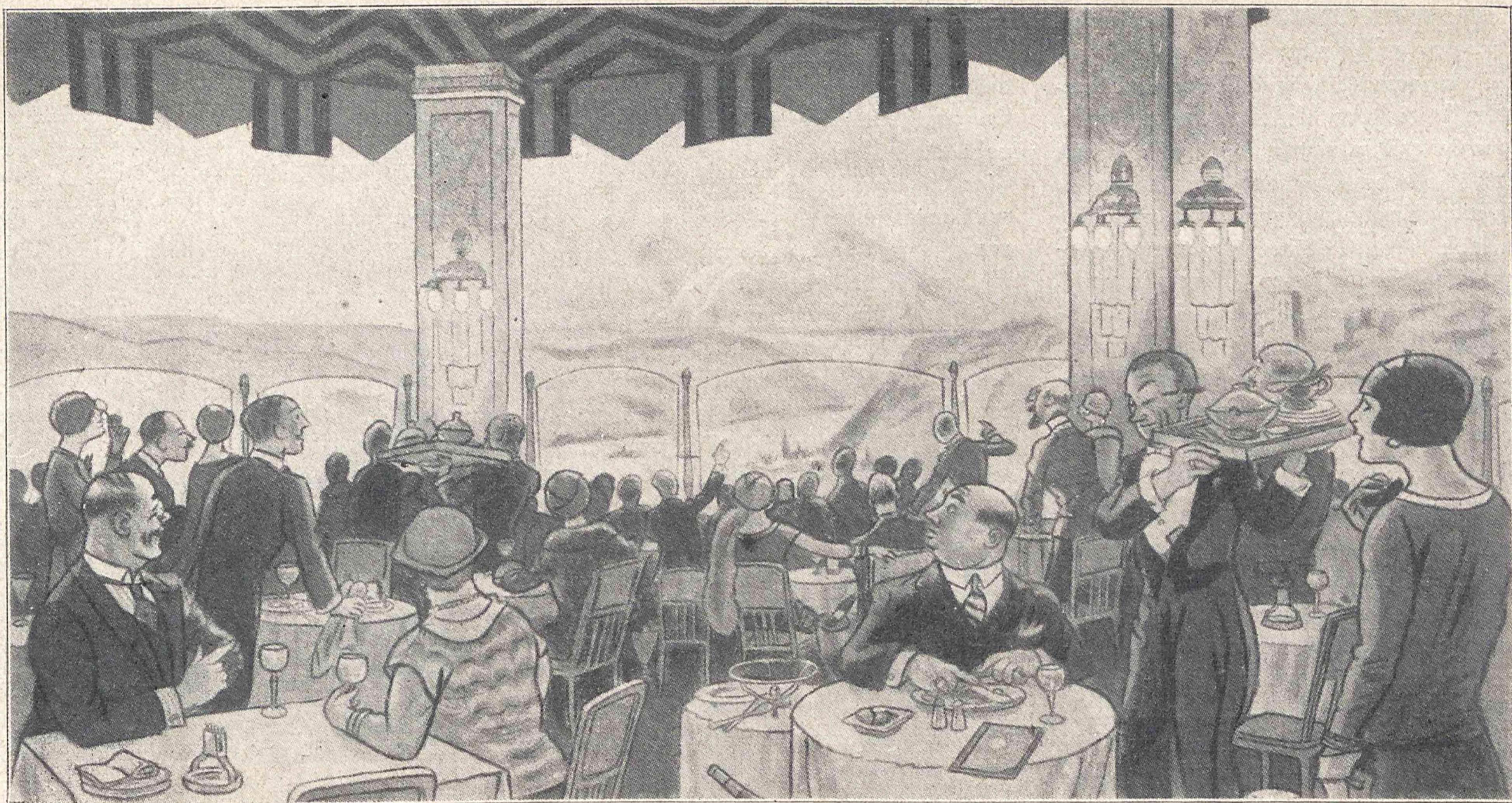
Należy jeszcze pamiętać, że pisać dla publiczności, a schlebiać złemu smakowi publiczności, to są rzeczy zgoła odrębne.

Grubiński, który jest jednocześnie autorem i krytykiem, w recenzjach swych obszedł się surowo z Rybickim i z Szaniawskim. Okoliczności tak się złożyły, że nie widziałem ani „Kostjumu Arlekina", ani „Adwokata i róż". Nie mam więc w tej mierze własnego zdania. Grubiński nie wymawia się nigdy od odpowiedzialności za to, co pisze. Pocóż — całkiem niesłusznie — mieszać do tej sprawy ogół pisarzy dramatycznych? Czy dlatego, aby siać niezgodę i podważać solidarność, tak wątłą w naszym świecie literackim?

Oto moja odpowiedź, kochany Kadenie, wraz z przyjacielskim uściskiem dłoni.

Stefan Krzywoszewski





Nastroje podczas kolacji: Panorama Renu, oświetlana ogniami różnokolorowych żarówek.

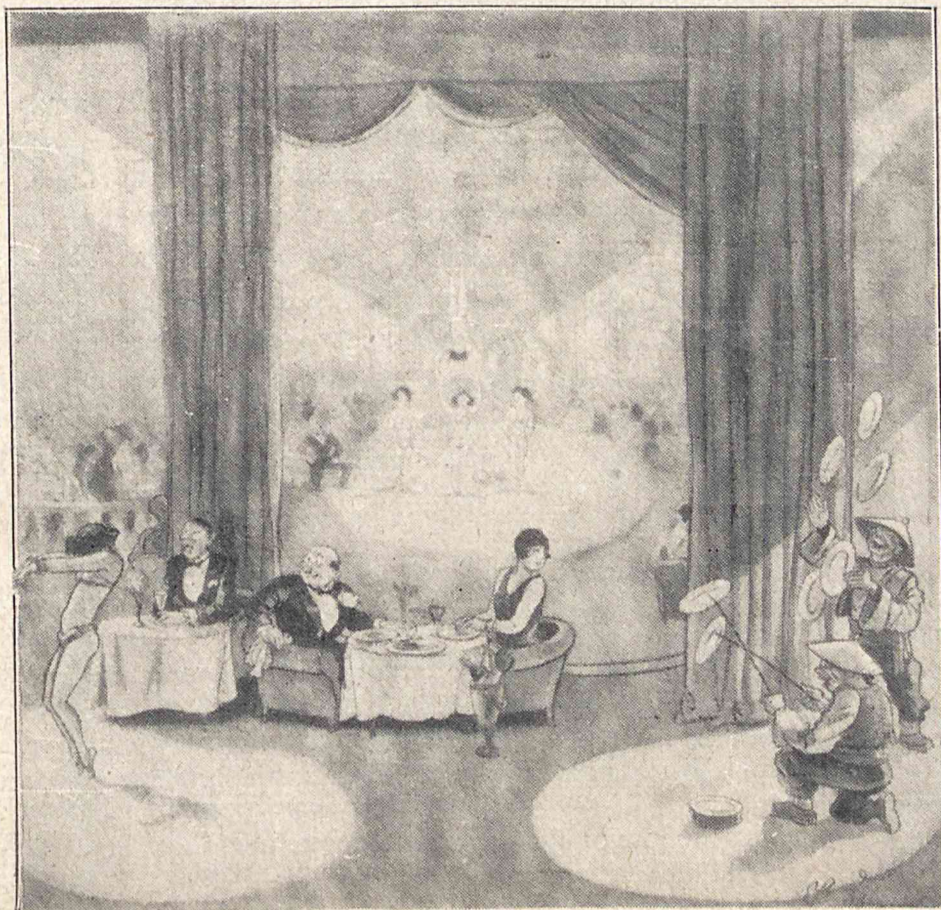
NOCNE ŻYCIE NOWEGO BERLINA

W sercu Berlina na skrzyżowaniu „Lip" i Friedrichstrasse, stoi, może od roku, mały pawilon - kiosk: miejskie biuro informacyjne. Usłużni młodzi urzędnicy chętnie udzielają wszelkich wyjaśnień: co warto zwiedzić, gdzie można kupić rasowego wilczka, w jakim hotelu najlepiej przenocować. Pewnego dnia przychodzi solidny starszy pan — cudzoziemiec. „Nie znam Berlina — mówi — może mi panowie poradzą, gdziebym mógł nawiązać jakąś miłą znajomość damską". Urzędnicy wzruszają ramionami: „Bardzo nam przykro, ale tego rodzaju informacji udzielić panu nie możemy". I obcy pan zmuszony został do poszukiwań na własną rękę...

Nie przyszło mu to z trudnością: jeżeli wziął do ręki gazety typu bulwarowego, wystarczyło przejrzeć dziesiątki ogłoszeń dancingów, barów i kabaretów; jeżeli spacerował wieczorem po Friedrichstrasse, obskoczyła go zgraja „Schlepperów", obiecując mu wszelkie rozkosze gwiaździstych nocy, jedwabistych włosów i perlącego się humoru (prowizja: dwie marki od „gościa"). Tak się bowiem składa w naszej bardzo współczesnej epoce, że identyczne typy zaczepiają ciebie lub mnie na Place de la Concorde i w porcie Port Saidu, na rogu Jägerstrasse i Bóg raczy wiedzieć, gdzie jeszcze. Najzimniejszy poważny człowiek nabiera wówczas chłopięcego entuzjazmu; myśli o cudach, których wyśnić nie potrafi i wierzy, że mu sezam otworzy swe wrota, „quand les cent drachmes sont sur le foyer"...

Tylko, że za czasów legendarnej Bilitis „lekkie panie" grały rolę fakultetów filozoficznych, a kurs drachmy mocno się trzymał w londyńskiej City. Obawiam się, że rozczaruję łakomych wiedzy czytelników i ciekawe z natury czytelniczki, jeśli będę musiał stwierdzić, że życia nocnego — we właściwem tego słowa znaczeniu — wogóle niema. To znaczy, jest — w jedynem mieście świata—od „Dżungli" montparnaskiej do zakładów dla snobów w okolicy Place Pigalle. I w Nowym Yorku, Chicago i innych stolicach „God's own country" — w postaci klubów nocnych dla szczególnie grubych portfeli. (W Grecji i w Rzymie, proszę państwa, plebs chodził tylko do cyrku na darmochę, a bawili się panowie magnaci). Natomiast w Berlinie — o ludności równej liczbie obywateli litewskich, boliwijskich i paragwajskich razem wziętych — w Berlinie życia nocnego niema. Jest nocny „ruch w interesie" — Nachtbetrieb; naciąganie gości — zwłaszcza z prowincji — słynny Nepp; i godzina policyjna, hamująca wszelkie publiczne ruchy i odruchy, skoro zegar wybije trzecią — wszechmocna Polizeistunde. Nie na darmo kwitnęły Prusy pod błogosławionemi rządami Hohenzollernów...

Więc, kochani państwo, możecie się bawić do trzeciej. Za małe, średnie lub grube pieniądze — ale zawsze bardzo spokojnie. Berlińczyk nie ma temperamentu rasy gallijskiej, lekkości wiedeńczyka, rubasznej Gemütlichkeit monachijskiej. W stosunku do lat przedwojennych jest coprawda duży postęp: ponurki jeszcze nie wymarły, ale młodsza generacja ma werwę; pozatem zaś — sport czy jedwabne pończochy? — platfusy wymierają.



W berlińskiej pierwszorzędnej, dancingowej restauracji: równocześnie na kilku miejscach odbywają się różnego rodzaju atrakcyjne popisy.

I to jest może najważniejsze. Pod wpływem sportu, emigrantek rosyjskich, filmów i zbiorowych wycieczek do Paryża zmienił się typ kobiet niemieckich, szczególnie zaś młodych berlinek. Bronią się jeszcze z wież Alpuhary stare roczniki: w dzielnicach robotniczych, na t. zw. Witwenballach, drepcą istne kolubryny, zwane w tem środowisku „Klassefrauen". Wodzirej stoi w środku sali, pilnuje moralności oraz robi Stimmung, wyśpiewując ten lub inny refren. Ceny są niskie, kawaler stawia swej damie małe piwo i pyta się (ma to zapewne z kabaterów warszawskich), czy pani mieszka sama. Ogólnie biorąc: spokojna, godziwa rozrywka.

Inne „pałace tańca", przeznaczone również dla klas średnich, mających węża w kieszeni, służą szczególnemi atrakcjami. Sala taka ozdobiona jest świetlistą wielobarwną fontanną lub obracającemi się kolorowemi kulami. Na każdym stoliku stoi telefon dla łatwiejszego nawiązywania znajomości z dalej siedzącymi partnerami. Krótkowzroczni przynoszą podobno lornetki.

Na tych dwóch kategorjach kończy się jednak domena grubych bab, częściowo z upiętemi długiemi włosami, w formie koku, zwanego tu Wilhelmem. Przechodzimy do „lepszych" lokali dla bardziej „modern" publiczności, która zresztą najprzód idzie do kina lub teatru. Teatry z upiętemi długiemi włosami, w formie między dziesiątą a wpół do dwunastej. Kina grają po dwie godziny, ostatnie przedstawienie trwa od dziewiątej do jedenastej. Potem tłoczy się wszystko do kawiarni lub idzie na dancing. Państwo „bien" do jednego z wielkich międzynarodowych hoteli, lub do „Tanzlokal", gdzie się pije szampana, patrzy na parę numerów tanecznych i udaje paryską „boite de nuit" — ale tylko do godziny trzeciej nad ranem. Te eleganckie lokale są na całym świecie podobne do siebie. Prym trzyma chwilowo „Casanova"z trzema orkiestrami, w tem jedną tangową, paroma ładnemi salkami, młodemi barówkami, zachęcającemi do nowego cocktailu — w Berlinie zwą się one Animierdamen. Gości z Polski spotyka się często w miłej bonbonierce „Barberinie". Nie do pogardzenia jest „Valencia", koła nacjonalistyczne tangują w „Villa d'Este", zapewne ze względu na niemieckie brzmienie tej nazwy.

Większość eleganckich lokali leży w zachodniej dzielnicy miasta — w wytwornem „Berlin W". Centrum — tak zwana Friedrichstadt — gdzie jest mniej etranżerów ale więcej wujaszków z prowincji — daje dancingi w stylu mieszanym — pół-tradycyjnym, pół-nowoczesnym, nieco ordynarnym i dość realnym. Cała Jägerstrasse roi się od takich lokali; prym trzyma „Libelle".

Znany restaurator Kempiński otworzył na Potsdamer Platz olbrzymi dom — restaurację, nazwany Haus Vaterland. W rzeczywistości znajdujemy tam parę Vaterlandów, połączonych monumentalnym hallem o nowoczesnej architekturze. Osiem tysięcy gości i trzy tysiące personelu siedzi po różnych salach-cudach: więc na tarasie nadreńskim, „z panoramą rzek niemieckich" i — co pewien czas — prawdziwą burzą z deszczem i piorunami; w Bawarji, z oryginalną kapelą bawarską i takiemiż tańcami; pod Wiedniem — w Grinzingu, przy lampce Heuriger'a, z widokiem na panoramę nocnego Wiednia. W kawiarni nad Bosforem, w barze cow-boyskim, wśród węgierskich cyganów i w hiszpańskiej winiarni. Wszędzie narodowe tańce, muzyka i śpiew, miejscowe trunki i krajowa kuchnia. Przez szklane szyby widać wzorowe instalacje kuchenne, świecące nieskazitelną białością szkła i metalu. Za markę nabywa zwiedzający prawo wałęsania się od sali do sali, sadowienia się w klubowe fotele na wszystkich piętrach hall'u i podziwiania pomysłów firmy Kempiński. Za osobną dopłatą — zaliczaną na rachunek spożytych potraw — wchodzi się do sali balowej, wystawiającej słabą bardzo — rewję i podobnej do stu sal w Berlinie, Brukseli, Sztokholmie lub Madrycie.

Kempiński bluffuje swojemi salami, „Alkazar" — w centrum miasta — robi dancing - variété: jednocześnie odbywają się w paru miejscach produkcje, tak że gościowi stygnie sznycel i nadwyręża się kark. A z tych pół-variétés mamy tylko krok jeden do kabaretów i lokali „zupełnie specjalnych" — do których, kochani państwo, pójdziemy sobie — następnym razem.

Nocnemi tramwajami, autobusami i taksówkami rozjeżdża się bractwo we wszystkie strony. Po trzeciej otwarte są jedynie knajpy dorożkarskie, w których naprawdę głównie grzeją się szoferzy. Nie radzę też iść na słynne w okresie inflacji „Nackttänze", stanowiące — za potrójną cenę — jedynie parodję przedstawień wieczornych w music-hallach i kabaretach. Życie nocne — w mizernych swoich resztkach — odgrywa się po trzeciej tylko na ulicy, a wkrótce potem brzask i pierwsi ludzie idący do pracy płoszą sprzedawców serdelków („Wurstmaxe"), przygodnych batiarów i nieodzowne ćmy nocne miljonowego miasta.

Dr. Alfred Bzowiecki

Zgon wybitnego artysty

Ś. p. Józef Rapacki, znany, wielokrotnie zaszczytnie wyróżniany art.-malarz, zmarł 1 lutego w 58 roku życia w majątku swoim Olszańce pod Radziwiłłowem. Krajobrazy jego pędzla zażywały szerokiej popularności. Umiał się on wczuć w piękno ziemi naszej. Szczególnie udawały mu się wizje łąk, pól, zagajników. Jego cykl drzew polskich w swoim czasie był bardzo dodatnio omawiany. Uprawiał ś. p. Józef Rapacki i litografje. W dziale tym pozostawił kilka cennych tek. Zmarł w pełni sił, zmożony komplikacjami po grypie. Wśród ludzi kultury zażywał w Polsce sławy szczerego, rzetelnego artysty.



Autoportret ś. p. Józefa Rapackiego przy pracy w Olszance



Na torze saneczkowym

Tajemnicze mistrzostwo Zakopanego na r. 1929

Kto smaruje... — Treningi na krokwi. — Obrażeni Szostacy. — Omyłka P. Z. N.-u. — Zdegustowany Broneczek. — Schiele perswaduje. — A jednak pierwszy. — Obdarowany puharami. — Sieczka znów skacze.

W narciarstwie, tym najdziwniejszym sporcie, pełnym najkapryśniejszych niespodzianek, wszystko zależy od przypadku, gdy do walki staną równorzędne siły, reprezentujące najwyższą klasę.

Odgrywają tutaj wielką rolę najrozmaitsze drobiazgi, jak pogoda, gatunek śniegu, wiatr, lub śnieg w czasie skoków i wiele, wiele innych. A do tego wszystkiego — smary.

Staroświeckie przysłowie „jak smarujesz, tak jedziesz" idealnie nadaje się do smarowych niedoli narciarskich.

Smarowanie nart, to cała wiedza i nauka, o której normalny śmiertelnik nie ma najmniejszego pojęcia.

Smarów jest sto gatunków i kilkanaście rodzajów śniegu. Żeby dobrać i dopasować do siebie te dwa odmienne rodzaje: kapryśny, nielogiczny często śnieg i mądre, na zimno obmyślane i na gorąco przyrządzane smary, to sztuka niełada. Psioczymy na naszych zawodników, że jeszcze nie dorównali zagranicznym, a tu tymczasem Simonsen chwali ich, że świetnie smarują i doskonale znają się na smarach. Przynajmniej jedna pociecha, chociaż znajdzie się może i więcej.

Ostatnie zawody o mistrzostwo Zakopanego na r. 1929 dowiodły, że znowu tak bardzo źle nie jest, że jednakże coś nie coś pokażemy naszym gościom i chociaż nie będziemy na pierwszem miejscu, to i tak niejeden zagranicznik będzie się mógł od nas nauczyć różnych umiejętności narciarskich.

Sobota i niedziela, 26 i 27 stycznia, były dniami ostatniego pojedynku przed wielkiemi zawodami Fis o mistrzostwo Polski w międzynarodowej konkurencji. Tym razem walczono o najzaszczytniejszy po tamtym tytuł mistrza Zakopanego.

Na parę dni przed zawodami wypogodziło się. Chwycił kilkunastopniowy mróz.

W piątek całe Zakopane, t. zn. wszyscy co najlepsi kandydaci na mistrzów, ruszyli szturmem na krokiew, aby potrenować przed niedzielnym konkursem.

Cudowne warunki śnieżne pozwoliły na pełny trening.

„Chłopcy" z Simonsenem na czele sadzili się jeden przed drugim na jaknajdłuższe skoki. To też sześćdziesiątka padła szybko i powtórzono ją wiele razy.

Wszyscy byli jaknajlepszej myśli, a tu tymczasem w sobotę rano niebo powitało zwarjowanych amatorów narciarskich szaremi chmurkami i temperatura szybko zbliżała się do zera.

Na dobitkę złego, trasę poprowadzono w dwuch okrążeniach, a na starcie zabrakło dwuch najgroźniejszych konkurentów o Bronka Czecha, braci Szostaków.

Antoni pokonał Czecha w biegu 18 km. o mistrzostwo Śląska. Broneczek ma na swoje usprawiedliwieine niewygojoną nogę po upadku na przeklętej skoczni w Westerowie.

Bracia Szostacy zostali przeniesieni przez P. Z. Narciarski do II klasy senjorów dla niewiadomych powodów i obraziwszy się na nasze władze narciarskie, postanowili nie startować.

Wywołało to wielkie poruszenie przed biegiem, lecz znowu nie tak wielkie, żeby inni zawodnicy mieli z tego powodu nie startować.

Tylko Broneczek objeżdżał metę skrzywiony i zdegustowany, odgrażając się, że jeżeli Szostacy nie biegają, to on też odda numer i pójdzie na drugie śniadanie do domu.

Na szczęście, znalazł się w pobliżu „Kazio" Schiele, opiekuńczy duch mistrza Polski, i wytłomaczył Czechowi, że wtedy to już naprawdę zrobiłby się wielki skandal i krzyk po całem narciarstwie. Poleciał więc Bronek z drugą trzynastką na piersiach w bieżącym sezonie.

A Szostacy tymczasem wywijają sobie między publicznością na mecie, zadowoleni nadzwyczajnie, że wypłatali figla P. Z. N-owi i zemścili się za swoją krzywdę.

Ani jedna, ani druga strona nie jest w porządku. P. Z. N. powinien dobrze sprawdzać swoje listy i rozporządzenia, a Szostacy nie obrażać się o byle głupstwo, do biegu stanąć, ewentualnie zająć pierwsze miejsca, a potem założyć protest przeciwko niesłusznej degradacji.

Zostawmy ich leniuchujących beztrosko na mecie i rzućmy okiem na trasę.

Dwa okrążenia po 9 klm. to ciężka praca, tembardziej, że po zjeździe z Lipek cały czas trzeba się drapać do góry, przecinając Gubałówkę aż do sanatorjum wojskowego, potem kawałeczek zjazdu i 4 km. „wyrywania" po równem. A do tego jeszcze dwa okrążenia!

Wytrzymać nerwowo dwie takie pętle, zwłaszcza drugą, gdy się już wie, ile jeszcze trzeba przelecieć, to nie żarty.

Nie lubią bardzo podwójnych okrążeń nasi zawodnicy, ale dla publiczności duża to przyjemność obserwować na półmetku kolejność przybywających biegaczy i emocjonować się ich walką.

Z Lipek doskonale widać Sobiekowę i Blachówkę.

Setki oczu wlepionych w dalekie zbocze śledzi przebieg wyścigu i wypatruje wśród małych, czarnych punkcików, którzy zjawią się jak zawsze pierwsi na mecie.

Kto dobrze posmarował? Komu się deski ślizgają przy podbiegu. Na mecie w czasie biegu jest tysiąc ciekawych szczegółów do zaobserwowania.

Trzeba przyznać naszej publiczności, że orjentuje się już nieźle w technice biegu narciarskiego i przeżywa razem z zawodnikami ciężką walkę, wymagającą olbrzymiego wysiłku woli, nerwów i mięśni. Wszystkie lekkoatletyczne biegi, to mechaniczna zabawka w porównaniu z improwizacją biegów narciarskich, odbywających się zawsze na innej trasie i w zmiennych warunkach śnieżnych.

Zagadaliśmy się o różnych filozofjach narciarskich, a tu tymczasem Bronek Czech wygrywa bieg w doskonałym czasie 1 g. 37 m. 54 sek.

Osiemnastka była trochę przesolona, śnieg ciężki i dlatego ten słaby w normalnych warunkach wynik trzeba uznać za dobry.

Konkurs niedzielny był jedną wielką niespodzianką.

Wszyscy skakali na równym mniej więcej poziomie: Cukier, Sieczka, Rozmus. Jedynie Czech, obliczywszy sobie w rutynowanej główce, ile metrów musi wyciągnąć, aby zdobyć mistrzostwo, skakał spokojnie niezadaleko, akurat tyle, ile trzeba do mety za bieg złożony. A że dobrze obliczył, najlepszym tego dowodem tytuł mistrza Zakopanego na r. 1929, najzaszczytniejszy dla każdego narciarza po mistrzostwie Polski, który mu przyznano z wszystkiemi puharami i honorami.

W konkursie nie pokazano nam najwyższej klasy polskiej, t. zn. „sześdziesiątki" z jej efektownym lotem w powietrzu i hazardownem lądowaniem, lecz kiepskie warunki śnieżne nie pozwalały na dłuższe skoki.

Odstraszająco mógł podziałać na skoczków fatalny upadek Simonsena po wspaniałem wybiciu się na 47 metrów. Zniosło go w powietrzu na lewą stronę zeskoku i prasło naturalnie na miękkim, hamującym śniegu. Takiego nieludzkiego poplątania rąk, nóg i nart dawno już nie widzieliśmy na krokwi.

Poza konkursem najdłuższy skok osiągnął powracający do dawnej świetnej formy Stanisław Gąsiennica Sieczka. Na takim śniegu wyciągnąć 55 m. można tylko przy doskonale opanowanem wybiciu.

R.

PIERWSZA POLSKA WYTWÓRNIA FILMOWA

Wszelkie nowe prądy czy to w sztuce, czy w innej dziedzinie spotykają się zawsze z niedowierzaniem i nieufnością społeczeństwa.

Nowator pada ofiarą przesądów. Dopiero jego następca wyciąga z tego korzyści lub okrywa się sławą.

Mercadante stworzył dramat muzyczny.

Genjalny Verdi, idąc jego drogą, okrył się sławą.

Mercadante był Kolumbem, Verdi — Amerigo - Vespuccim.

Watt, siedząc nad imbryczkiem, w którym gotowała się woda na herbatę, wpadł na pomysł zastosowania pary jako siły motorowej. Za takie niesamowite pomysły powędrował do czubków, a jego następca Stefenson okrył się sławą...

Wstęp ten był mi potrzebny do uwypuklenia dramatu, który mam zamiar opowiedzieć.

Siłę dramatu potęguje sytuacja niezwykła. Oto udział w nim bierze trzech komików. A czy może być coś więcej dramatycznego, niż komik, nad którym płaczą. Cóż dopiero, jeżeli los każe nam płakać nad trzema komikami?

Dramat, który mam zamiar opisać, jest dramatem filmowym. Pozwólcie więc, że zlekka zatrącę o film, bo oto niedawno widziałem na ekranie wspaniały obraz pod tytułem *Romans panny Opolskiej*. Film ten cieszył się dużem powodzeniem, ale też i kosztował dwieście tysięcy złotych. Mój Boże... dwieście tysięcy złotych... Realizatorem był Władysław Lenczewski. Przemiły ten kolega jest jeźdźcem pierwszej klasy, zdobywcą nagród na konkursach hippicznych; jest i *niedoścignionym* motocyklistą, a w wolnych chwilach od sportu aktorem.

Jeżeli mówię *niedoścignionym*, nie mówię gołosłownie.

Śmigliwy kolega dosiadł we Lwowie żelaznego rumaka w myśl zasady: audaces fortuna juvat. Nic więc dziwnego, że nie umiał tego rumaka w porę zatrzymać i pomimo *ścigania* policji i wystraszonych mieszkańców, objechał rynek lwowski kilkaset razy, aż do wyczerpania ostatniej kropli benzyny.

Ale wróćmy do dramatu.

Jesteśmy w okresie przedwojennym u Loursa (Lours był zawsze!).

Przy małym stoliku pod filarami siedzi dwóch, bardzo przystojnych młodzieńców.

Ten, który właśnie kładzie cukier do czarnej kawy, to najpopularniejszy komik, ulubieniec Warszawy: Antoś Fertner. Jego towarzysz... zostawiam miejsce na superlatywy, — to niżej podpisany.

— Tak dłużej być nie może — rzecze Antoś.

— Masz rację, tak być nie może.

— My musimy zrobić pieniądze.

— Musimy — powtórzyłem.

— Duże pieniądze.

— Ale w jaki sposób?

— Zaraz ci powiem. Ja będę tym Kolumbem, który odkryje tajemnicę powodzenia.

— Błagam cię, odkryj jaknajprędzej.

— Masz sto rubli? — zapytał nagle Antoś.

— Mam.

— Ja także. Ale to mało. Potrzeba więcej.

— Ja wiem, że zawsze trzeba więcej...

— Zaraz ci wytłomaczę...

Ulubieniec publiczności warszawskiej nigdy jeszcze nie miał miny tak poważnej, jak w tej chwili. Utkwił we mnie wzrok i wycedził majestatycznie:

— Zakładamy pierwszą wytwórnię filmową w kraju.

— Świetna myśl, majątek pewny! — odpowiedziałem, oczarowany tym pomysłem.

— Tylko trzeba znaleść jeszcze jednego komika, — dorzucił Antoś

— Doskonale, ale jakiego?

— Takiego, któryby miał sto rubli.

— Masz słuszność!

Takim komikiem był niezrównany książę Rumuneszti z Luksemburga. Najsympatyczniejszy z kolegów, Julek Krzewiński.

— Teraz szukajmy primadonny — rzekł Antoś.

— Poco szukać, — odpowiedziałem,— właśnie tu zmierza.

Najbardziej uroczą primadonną, czarującą Krysią Leśniczanką, była pani Józefina Bielska. A ponieważ oprócz głosu i urody, miała sto rubli, myśl o pierwszej polskiej wytwórni zaczęła się oblekać w realne szaty.

— Doskonale. Teraz szukajmy specjalisty w fachu filmowym.

— Szukajmy!

— Wiesz, o jakiego specjalistę mi chodzi? — zawołał Antoś.

— Wiem, — odpowiedziałem z pewną miną. — O takiego, któryby miał sto rubli.

— Bredzisz. O takiego, któryby znał się na filmach.

— Sądzisz, że taki istnieje?

— Jest. Przystojny jak Apollo i znający się na rzeczy. Nazywa się Juljan Zagrodzki.

Wszystko poszło znakomicie. Zagrodzki przystąpił do spółki.

Julek Krzewiński napisał scenarjusz pod tytułem „Skandal przy ulicy Szopena".

Pracowaliśmy zawzięcie, bez wytchnienia.

O piątej rano Julek Krzewiński wypadał już w Alejach Ujazdowskich na bruk z dorożki. O siódmej Antoś Fertner siedział zamknięty w szafie z Bielską. Jeszcze dziś przypomina sobie te chwile z entuzjazmem.

O dziesiątej niżej podpisany objadał się ciastkami, co potem przeszło w manję.

O godzinie dwunastej w Dolinie Szwajcarskiej jeździliśmy na wrotkach.

O godzinie pierwszej na Nowym Świecie policja chciała nas aresztować.

Film udał się nadzwyczajnie.

Zapalony Julek Krzewiński napisał drugi scenarjusz p. t. „Kosz primadonny". Fertner przeszedł w kreacji samego siebie.

Julek wylatywał w zamkniętym koszu z trzeciego piętra. Bielska czarowała grą, urodą, toaletami.

Niżej podpisany zjadał na poczekaniu dwa torty, w oczach publiczności, stojącej na ulicy. Od tej pory nie pomagały mi już żadne środki ochudzające. Chwyciłem się ostatniej deski ratunku: zacząłem pisać sztuki. Zwykle autor już podczas prób traci sześć kilo na wadze, a po recenzjach osiemnaście. Ja na próby nie chodziłem, a recenzje miałem znakomite.

Ale wróćmy do filmu.

Wszystko było gotowe.

Puściliśmy film na ekran.

Bajeczny. Znakomity. Wysyłamy go za granicę.

Byliśmy pewni, licząc bardzo skromnie, że film przyniesie nam pół miljona dochodu.

Na drugi dzień przyszliśmy znowu do atelier rozkoszować się naszem arcydziełem.

O dziwo. Film jakby trochę zbladł. My także. Czyżby ze strachu przed wyjazdem za granicę?

Na trzeci dzień film zbladł jeszcze więcej. Za to nasze fizjonomie były trochę zielone.

Ledwo, ledwo coś się jeszcze majaczyło na płótnie, wkońcu wszystko się rozwiało, jak mgła, wraz z marzeniami o majątku.

Co było przyczyną, nikt nie umiał wytłomaczyć.

Drugiej sturublówki nie miałem.

Konsorcjum się rozwiązało.

Takie były losy pierwszej polskiej wytwórni filmowej.

Jeden pan Zagrodzki nie stracił animuszu i pracował dalej. O ile wiem, z lepszym rezultatem.

My jednakże jesteśmy dumni. My byliśmy Kolumbami pierwszego polskiego filmu. I dlatego tych kilka słów napisałem, ażeby się ludzkość o tym fakcie znamiennym dowiedziała.

Trzech komików założyło pierwszą polską wytwórnię.

Nic dziwnego, że los się uśmiał z tego do rozpuku.

Wczoraj, gdy jeden z Kolumbów podczas mrozu czekał na tramwaj, jakiś młodzian z wesołą miną wypadł od Langnera i wskoczył do taksówki.

Młodzianem tym był Amerigo Vespucci — Lenczewski.

Wincenty Rapacki



Królowa Elżbieta belgijska na ślizgawce w Murrien (Szwajcarja) wywija zgrabne holendry w towarzystwie ang. sportsmana Duff Taylora



Książę Olaf, następca tronu norweskiego, zaręczył się z księżniczką Martą szwedzką



Księżniczka Ileana rumuńska uczy się jeździć na nartach w Predealu (Karpaty)

Polski pisarz w Londynie

(Od naszego korespondenta londyńskiego)

Na scenie *Royalty Theatre* w stolicy Anglji dn. 10 lutego odegrana będzie po raz pierwszy trzyaktowa komedja Wacława Grubińskiego pt. *Peace, War, and Revolution* („Pokój, Wojna i Rewolucja") w autoryzowanym przekładzie pp. Florjana Sobieniowskiego i E. H. G. Pearson'a. Jest to dla literatury polskiej wogóle, a dla literatury dramatycznej polskiej w szczególności, wydarzenie wagi niezwykłej. Publiczność angielska nigdy jeszcze nie miała okazji oglądania w swoich teatrach dzieła polskiego twórcy. Autor polski po raz pierwszy wchodzi ze swoją sztuką na angielskie deski sceniczne. Zaszczyt ten przypadł w udziale Wacławowi Grubińskiemu, któremu literatura dramatyczna polska zawdzięcza utwory takie, jak *Kochankowie, Księżniczka żydowska, Lampa Aladyna* i *Niewinna grzesznica*, grana przed dwoma laty w Paryżu.

O przebiegu prób w *Royalty Theatre*, odbywanych pod kierunkiem znakomitego reżysera, pana *Roberta Atkinsa*, zamierzałem zrobić wywiad dla „*Świata*" z p. Sobieniowskim, niestety jednak p. Sobieniowski leży chory. Rozmawiałem z kimś z jego bliskich znajomych i ten mnie objaśnił, że aktorzy angielscy są zachwyceni sztuką polskiego pisarza, chociaż nie wszyscy z zupełną dokładnością zdają sobie sprawę z tego, co to jest naród polski, a są między nimi tacy, którzy dobrze znają Indje, Australję i Meksyk. Naród polski dla nich dalej leży, niż Boliwja. Teraz dopiero, pod wpływem komedji polskiego autora, zaczynają się interesować jego ojczyzną. W oświetleniu takich faktów „zakulisowych" najwyraźniej się uwidocznia znaczenie propagandy artystycznej zagranicą.

Sztuka Grubińskiego może mieć w Londynie duże powodzenie, lub małe, bo powodzenie sztuki teatralnej zależy od wielu skombinowanych czynników, i nigdy nie da się przewidzieć, ale że sztuki Grubińskiego warte są powodzenia zagranicą, to pewna i że nam, polakom, powinno bardzo zależeć na zdobyciu największego sukcesu przez *Peace, War and Revolution* nad Tamizą, to drugi pewnik. Przed rokiem Grubiński odniósł rozgłośny tryumf artystyczny w Pradze Czeskiej swymi *Kochankami*. Niech w mgłach londyńskich świeci taka sama gwiazda powodzenia jego komedji pt. *Pokój, Wojna i Rewolucja*.

Esq.

DOKOŁA EKRANU

(„Miłostki aktorki" z Polą Negri. — „Tajemnice wschodu" w „Colosseum" i „Filharmonji". — „Milczące usta", film niemiecko - szwedzki. — „Cyrk wędrowny" w „Splendid". — Rudolf Schildkraut w „Wodewilu". Filmy krajowe).

Pola Negri należy do tych heroin ekranu, których gra i postać wywołuje tyleż conajmniej zastrzeżeń, co i zachwytów. Do jej najlepszych obrazów należy też niewątpliwie film „Miłostki aktorki", osnuty na tle życia i przygód miłosnych słynnej Rachel. Wyświetlały go u nas z wielkiem powodzeniem aż dwa kinoteatry: „Quo Vadis" i „Światowid". Pola Negri gra tu znakomicie, wciela się całkowicie w odtwarzaną postać, której daje blask życia. Jest urocza, jest chwilami niezrównana. Partnerzy jej mało mają pola do popisu. Nils Asther, prześliczny chłopak z filmu „Ojcze", dobrze znany, tym razem gorzej wygląda i nie ma nic do grania. Sam film jest bardzo zajmujący, doskonale skonstruowany i grany wybornie nawet w epizodach.

„Tajemnice Wschodu", w pełnej przepychu wystawie realizacja bajek Szecherezady, dokonana przez znanego reżysera Wołkowa. Gra barw, świateł i uroku kobiet, ba! nawet mężczyzn, w tym bowiem obrazie jedną z ról głównych gra urodziwy jugosłowianin, Iwan Petrowitz.

W „Splendid'zie" John Gilbert i Renée Adorcé, bohaterowie „Wielkiej Parady", grają bardzo zajmująco wraz z Lionelem Barrymove'em w męczącym, obfitującym w silne kontrasty i dramatyczne powikłania filmie „Cyrk wędrowny".

W „Wodewilu": „Śmiertelna krzywda", jeden z ciekawych filmów Rudolfa Schildkrauta, doskonałego tragika, który gra w nim główną rolę.

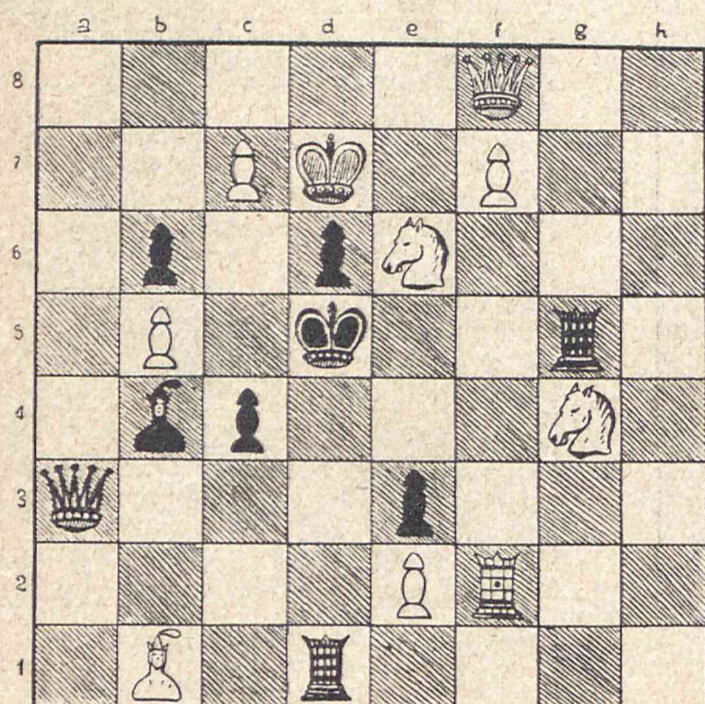
W przyszłym tygodniu premjera dwóch filmów polskich, reżyserji K. Meglickiego. Obraz osnuty na tle sztuki Żeromskiego „Ponad śnieg" i „Tajemnica skrzynki pocztowej" Aleksandra Reicha z Izą Belliną i Marją Bogdą. Jest też mowa o dwóch filmach polsko - francuskich: jeden z nich to „Dezerterka", którą realizuje Germaine Dulac przy pomocy p. A. Reicha z naszą rodaczką Izą Belliną w roli tytułowej, drugi film wytwórni Gaumont realizuje Michał Waszyński, asystent reż. Szary i reż. Gardana, któremu obecnie pomaga w pracy nad „Panem policmajstrem Tagiejewem", aby premjera tego wysoce interesującego obrazu, w którym podobno błyszczą talenty Nory Ney i Samborskiego — mogła się odbyć już w marcu.

Tadeusz Kończyc

DZIAŁ ROZRYWEK UMYSŁOWYCH

Zadanie szachowe № 5.

Autor: J. Scott (Carlisle)
wg. „The Ill. London News"



Białe: K d 7, D f 8, W f 2, G b 1, S e 6 i g 4, p : b 5, c 7, e 2 i f 7 (10)
Czarne: K d 5, D a 3, W d 1 i g 5, G b 4, p : b 6, c 4, d 6 i e 3. (9)
Mat w 2-ch posunięciach.

Rozwiązanie zadania szachowego № 4

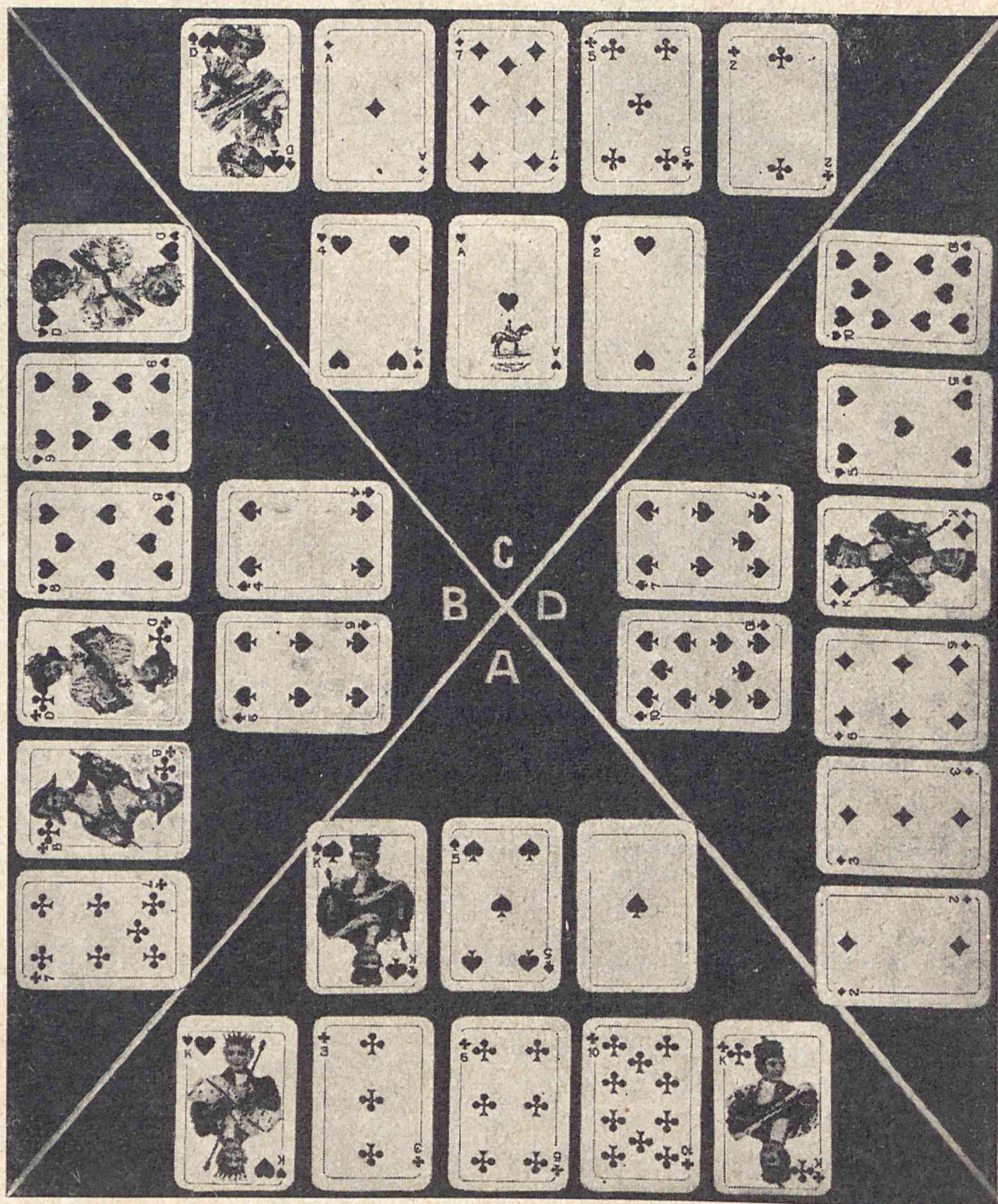
1) D g 1—d 1, c 7—c 6; 2) S c 8—d 6 † i M.
1) . . . ., W f 7—d 7; 2) W e 6—c 6 † i M.
1) . . . ., W f 7—f 5; 2) W e 6×e 4 † i M.
1) . . . ., G g 4×e 6; 2) G h 3×e 6 † i M.
1) . . . ., G g 4×d 1; 2) W e 6×e 4 † i M.
1) . . . ., ∾ ; 2) D d 1—d 5 † i M.

O problemie szachowym. podanym przez nas jako zadanie konkursowe № 3, wyraża się wydawca „Neueste Schachnachrichten" B. Kagan, jeden z najwybitniejszych teoretyków szachowych, jako o zupełnie pierwszorzędnem arcydziele. Nie wszyscy uczestnicy konkursu doszli w licznych podanych przez siebie warjantach do wyników, wskazanych przez autora a podanych przez nas w ostatnim numerze, wydaje nam się jednak, że popełnilibyśmy niesprawiedliwość odmawiając innym rozwiązaniom, których autorzy wykazali dobrą dyscyplinę szachową i wiele pomysłowości, wszelkiego znaczenia. Jako wyraz uznania dla włożonego przez nich w rozwiązanie wysiłku myślowego zapisujemy pp.: N. K. Kozłowskiemu, W. Buttlerowi, H. Siokmakowej, Predragowi, „Beesowi, i A. Serga i J. Czernowowi po 1-ym punkcie.

Stan konkursu: Predrag $2^{3}/_{4}$, W. Rembiszewski, W. Buttler, „Bees" po 2 punkty, N. K. Kozłowski $1^{3}/_{4}$, Siokmakowa i A. Serga i I. Czernow po 1-ym, wreszcie W. Radwański $^{3}/_{4}$ punktu.

Odpowiedzi Redakcji P. „Bees"'owi. Nie znając pańskiego adresu prosimy o łask. pofatygowanie się do redakcji w godz. między 16 a 18-tą po odbiór litsownej odpowiedzi na wniesioną reklamację.

Zadanie bridge'owe № 5.



Atutem są piki. A zagrywa. Partnerzy A C biorą 7 lew.

Rozwiązanie zadania bridge'owego № 4

	A	B	C	D
1.	9 trefl *)	10 trefl	W trefl	2 trefl **)
2.	6 trefl	3 karo	A karo	9 karo
3.	10 kier ***)	4 kier	3 kier	5 trefl
4.	8 kier	6 kier	2 karo	K karo ****)
5.	7 pik! *****)	9 pik	7 trefl	4 pik
6.	W. pik	7 karo	D karo	8 pik
7.	K trefl	4 karo	6 karo	A trefl

Uwagi: *) Przy zagraniu 6 treflowej, D bije asem i odgrywając trefla albo 4 pik, zmusza gracza A do oddania jeszcze jednej lewy. **) Przy zagraniu przez A 9 trefl, gracz D nie może zabić asem, bo 7 trefl zabezpiecza przyjście na stół, zaś trójka kier powrót do ręki. ***) Zgranie kierów przed wyjściem w trefle byłoby błędem, bo wtedy D może bić spokojnie pierwsze trefl, mając zapewnioną jeszcze jedną lewę na króla karo lub na 8 pik. ****) O ile D w tym momencie zrzuci małe pik, wtedy A zgrywa dwa piki i oddaje ostatnią lewą na asa treflowego. *****) Wobec zrzucenia przez gracza D króla karowego, otworzyła się możność wpuszczenia gracza B do ręki, który zmuszony jest wyjść pod widły karowe.

Dobre rozwiązania zadania bridge'owego № 3 nadesłali w przepisanym terminie pp.: H. Buttler, inż Gronowski, W. Kiślańska, T. Rembiszewski i dr. J. Zalewski, wszyscy z Warszawy. Pozatem wpłynęło znowu bardzo wiele błędnych prób rozwiązań. Stan konkursu: pp. W. Buttler, W. Kiślańska i dr. Zalewski po 3 punkty, T, Rembiszewski 2 punkty, St. Bellis, W Borkowski, A, Dienheim, inż. Gronowski, J. Pomianowski, „Emski", „Star", „Stefa"' M. Gawecki, H. Liebe, ppor. Bułka, por. Tyszkiewicz, St. Nowakowski, J. Krzymowski, E. Lipińska, B. Szyf, p. Serga i J. Czernow po 1-ym punkcie.

Odpowiedzi Redakcji. P. Liebemu w Otwocku. Za dobre może być uznane tylko takie rozwiązanie, które wyczerpuje wszelkie możliwości obrony. Gdyby w zadanlu konk. № 2, nie było ukrytych dwóch poważnych możliwości obrony, z któremi słabszy gracz nie potrafi sobie poradzić, to ten układ kart nie zasługiwałby na zaszczyt figurowania na liście zadań konkurs.

Tym wszystkim, którzy zadania Nr. 2 i 3 uznali za niemożliwe do rozwiązania. Może kiedyś w przyszłości wystawimy naszych szanownych korespondentów na próbę, pomieszczając zadanie niewykonalne. Narazie jednak tak niecnych zamiarów nie mamy i radzimy wszystkim, żeby, natrafiwszy na pewne trudności przy rozwiązywaniu, nie podeirzewali odrazu podstępu ze strony redaktora tego działu, a starali się głębiej wejrzeć w układ kart i odnaleść łamigłówkę.

Fot. J. Malarski



W ubiegłą sobotę odbyło się poświęcenie nowego lokalu znanej firmy fortepianowej Herman i Grossman (Mazowiecka 16). Licznie zebrani przedstawiciele świata muzycznego składali życzenia właścicielce p. Marji Grossmanowej, która umiała przetrzymać ciężkie, przełomowe czasy, a w lepszych — przywraca starej firmie jej dawny blask i świetność.

NOTATKI LITERACKIE

WŁADZA I DEMOKRACJA

W społeczeństwach demokratycznych wytwarza się tradycja trzymania władzy przez jakąś rodzinę zupełnie tak samo, jak w społeczeństwach o dawnej ustrojowości. Zmieniły się zasady — ludzie pozostali... ludźmi. Republikańska Francja ma takie dwa rody, stale zajmujące czołowe pozycje. Nie jest to rezultat przywileju, lecz energji intelektualnej. Społeczeństwo francuskie od lat śledzi z napięciem pożyteczną, często genjalną, naukową, odkrywczą pracę rodziny Berthelot. Na innym biegunie twardo i nieustępliwie stoi rodzina Poincaré. Szczyci się wielkimi prawnikami. Oba te rody dają republikańskiej i demokratycznej Francji mężów stanu, polityków, parlamentarzystów. Fama głosi, że historja Francji ostatnich dziesięcioleci jest właściwie kroniką walk ideowych między temi dwiema rodzinami.

Na ten temat przed trzema laty napisał powieść znany beletrysta Jean Giraudoux, p. t. „Bella". Powieść ta ukazała się obecnie w przekładzie polskim. „Rebendartowie" są powieściowym kryptonimem rodu Poincaré, „Dubardeau" — zawiera podobiznę Berthelotów. Nie można powiedzieć, by Giraudoux był bezstronnym obserwatorem. Jego sympatje stoją po stronie rodziny Dubardeau. I nic w tem dziwnego. Autor od lat pracuje u boku jednego z przedstawicieli tej rodziny, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Jest on radcą ministerjalnym. Ma w swojej pieczy referat długów ottomańskich. Zabiera mu to do dziesięciu godzin dziennie. Należy podziwiać tego pisarza, że potrafi znaleźć jeszcze czas na twórczość.

„Bella" była i jest jeszcze bardzo poczytną powieścią wśród elity europejskiej. Daje przecież w beletrystycznej wizji obraz walki dwóch zasłużonych rodów francuskich o władzę. Czytelnikowi kulturalnemu przysparza też wiele emocji literackich. J. Giraudoux wśród młodej generacji literatów zajmuje wybitne stanowisko.

PIERWSZE LAT DZIESIĘĆ

Praca publicysty ginie wraz z biegiem wydarzeń. Może historyk sięgnie kiedyś do artykułów, polemik, dyskusji publicystycznych, by unaocznić sobie psychologję i moralistykę chwili dziejowej? Dla przeciętnego człowieka praca publicystyczna przemija wraz z dniem bieżącym. Wśród narodów Zachodu znaleźć można większe zainteresowanie do publicystyki; ich też pisarze polityczni i społeczni często wydają swoje artykuły w książkach, publikacjach, przez co utrwala się linja sądów, pogłębia świadomość dla zagadnień wiecznie żywych w społeczeństwach rozwijających się, czujnych na swoje losy. U nas lepiej o tego rodzaju zjawiskach nie mówić! Publicystyka nasza nie może marzyć o posłuchu i trwałości, chociażby z tego względu, że mamy jeszcze zbyt wielki procent analfabetów. Inteligencja nasza też niewiele czyta. A jednak są ludzie, którzy naprzekór rzeczywistości potrafią wywalczyć sobie rezonans. Do nich należy poseł Stanisław Stroński, dawny redaktor „Rzeczypospolitej", później właściciel „Warszawianki". Działalność jego nie jest tajemnicą w Polsce. Jego konsekwentna postawa polityczna budzi tyleż sympatji, co nienawiści. W obozie narodowym publicysta Stroński jest zawsze szczerze adorowany. Wśród sfer lewicowych, a nawet centrowych jego wystąpienia budzą zawsze wątpliwości.

Bez względu na kierunek polityczny należy jednak podnieść energję tego działacza i publicysty. Wydał on olbrzymi tom swoich publicystycznych prac pt. „Pierwsze lat dziesięć". Jest to jakgdyby pamiętnik polityczny. Pisany z dnia na dzień, w ogniu walki, posiada wszystkie cechy tego rodzaju wystąpień. Obejmuje jednak nie tylko tematy polityczne. St. Stroński często zabiera głos i w sprawach kulturalnych. Mamy więc i jego publicystykę w tej sferze oddziaływania na społeczeństwo, często o rzetelnym walorze i dużej trosce o moralny poziom naszego narodu. O ile polityka p. St. Strońskiego nie jest do przyjęcia dla wielu obywateli, o tyle jego sądy o kulturze, zjawiskach intelektualnych i artystycznych zasługują na trwalszą pamięć. „Pierwsze lat dziesięć", zbiór jego prac publicystycznych, warto jest, by znalazł się w księgozbiorze nawet ludzi na przeciwnym biegunie jego ideologji.

SPROSTOWANIE

W Nr. 47 „Świata" z 24 listopada roku ub., na fotografji ratusza poznańskiego oraz na zdjęciach z Poznania w tekście pominięto nazwisko autora, fot. W. Kowalczyka z Poznania.

Notatki literackie

ALMANACH BIBLJOTEKI NARODOWEJ.

„Iljada" rozeszła się w edycji „Bibljoteki Narodowej" w 40 tysiącach egzemplarzy. „Odysseja" w 30 tysiącach. „Antygona" sięgnęła 60 tysięcy nakładu. J. Kochanowskiego „Treny" rozchwytano w 70 tysiącach, a „Odprawę posłów greckich" w 60 tysiącach. Cyfry te wskazują, jak rozwój szkolnictwa polskiego przyczynił się do zwiększenia nakładów. Jest to objaw, dający wiele do myślenia. Musi też zastanowić, że „Kronika Galla" szczyci się 6 tysiącami nakładu, a „Wybór pism" M. Kopernika rozszedł się w 7 tysiącach.

Cyfry te uzasadniają pożytek i potrzebę tego rodzaju wydawnictw, co „Bibljoteka Narodowa". Z racji dziesięciolecia istnienia tego kulturalnego przedsiębiorstwa, w „Almanachu" jubileuszowym przedstawiono dorobek wydawniczy pod każdym względem. Pióra takich fachowców, jak prof. Ign. Chrzanowskiego, W. Turzyckiego, St. Łempickiego, Br. Gubrynowicza, St. Wasylewskiego, W. Borowego, J. Krzyżanowskiego, M. Kridla, Wł. Dzwonkowskiego i innych, krytycznie oświetlają wydawnictwa tekstów, wstępów, wogóle kompozycji książek na użytek dla szerokiej publiczności. „Bibljoteka Narodowa" wydaje dzieła starych pisarzy nietylko dla użytku szkolnego. Może się nią posługiwać każdy kulturalny człowiek, szukający utworu starszego pisarza w redakcji krytycznej i źródłowo opracowanej.

Wydanie autora polskiego i to Kochanowskiego w 70 tysiącach egzemplarzy budzi uprawniony optymizm rozszerzania się oświaty. Jest to też widomy znak niezawisłości naszej państwowej.

Ciepło odmładza cerę

Powszechnie wiadomo, iż ciepło stanowi podstawę twórczej energji wszelkich stworzeń organicznych, że od dopływu ciepła zależy trwanie i rozwój świata roślinnego, tudzież odmładzająca się odnowa tkanek ciała ludzkiego. Gdyby słońce zgasło, zamarłoby wszelkie życie na ziemi. Wiadomo też, że roślinność strefy gorącej bujniejsza jest od flory klimatu umiarkowanego, że w pasie zimnym zaledwie karły kosodrzewiny wegetują. Podobnie dzieje się ze skórą twarzy „pielęgnowaną" zimną wodą. Gorąca natomiast woda rozpuszcza zalegające na twarzy wydzieliny i pobudza skórę do żywej przemiany materji, dlatego przeobraża się *tłusta* cera, skłonna do wągrów w prawidłową, jeśli się ją spłókuje często i długo gorącą wodą i myje delikatnie *proszkiem marmurowym „Miraculum"*. Odmładzanie zaś skóry prawidłowej, suchej i wiotczejącej osiąga się, jeśli twarz, powleczoną ożywczym *kremem „Oxa" Dra Lustra*, spłókuje się rano długo gorącą wodą, a wieczorem naparzy się nad parą — kremem „Oxa" natłuszczoną — twarz. W dniach mroźnych wskazane jest obfite pudrowanie twarzy, szyi i gorsu roślinnym *pudrem egzotycznym Dra Lustra*.

Dr. Z. B.

Kąpiel dziecka

Przy ogromnej wrażliwości naskórka dziecięcego do mycia główki i ciałka dziecka należy używać specjalnie w tym celu spreparowanych mydeł, z których bezsprzecznie i zasłużenie największą popularnością cieszy się Mydło Bébé Szofmana. Po kąpieli unikać należy zbyt energicznego wycierania dziecka najdelikatniejszą nawet tkaniną. Niezmiernie bowiem czuły naskórek dziecięcy pod wpływem tarcia ulegnie zaczerwienieniu i zaognieniu. Nie wolno jednak pozostawiać dziecka w wilgoci, bo i wilgoć nader ujemnie wpływa na cerę dziecka. Należy więc po kąpieli dziecko lekko otrzeć z wody, poczem dokładnie przysypać je Pudrem Bébé Szofmana, a ciałko dziecka będzie suche, świeże i zdrowe.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00. Ekspedycji 501-51
Konto czekowe P. K. O. Nr. 3755
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak.-Przedmieście 13, (Hotel Europ.)

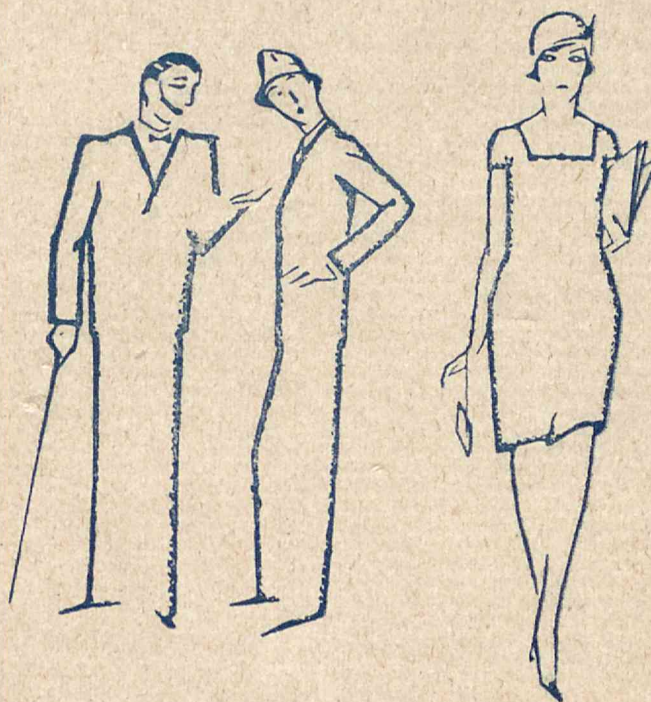
W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłosz. „PROMIEŃ" Piotrkowska 81, Księgarnia „Czytaj" Narutowicza 2, we LWOWIE: Oddział Tow. „RUCH"
CENY PRENUMERATY w Warszawie, odbiór na miejscu miesięcznie 5 zł., z odnoszeniem do domu 6.— zł., na prowincji: miesięcznie 6.60 zł., kwartalnie 19.80 zł.
Zagranicą miesięcznie 8.60 zł.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych 1 zł. 40 gr.

Redaktor odpowiedzialny ST. KRZYWOSZEWSKI

DRUK GALEWSKI I DAU, WARSZAWA

HUMOR ZAGRANICZNY



— Słyszałem, że ona wyjeżdża uczyć się śpiewać zagranicę. Kto jej dał pieniędzy?

— Pewno sąsiedzi...



DRUK GALEWSKI I DAU, WARSZAWA